

## **12.04. 2001(czwartek)**

Dzisiaj rozpoczynamy naszą wyprawę, którą nazwaliśmy Al MAGHREB 2001. Studencką Wyprawę Naukowo - Poznawczą do Maroka.

Ledwie zdążyłam na godzinę 16.00 do Gosi, gdzie zrobiliśmy główny punkt zbiórkowy sprzętu i bagaży.

Od samego rana biegałam, jak w ukropie. Najpierw zajęcia, potem jeszcze trzeba było pojechać do Rektoratu, gdzie przysły dodatkowe pieniądze od sponsora. Nie obyło się bez problemów. Zanim je odebrałam, trzy razy musiałam obrócić tam i z powrotem pomiędzy swoim wydziałem, a Rektoratem. Ale w końcu udało się, tylko, że musiałam jeszcze wrócić do akademika, zrobić zakupy na drogę, dopakować rzeczy, a czasu miałam niewiele - raptem dwie godziny na wszystko. W życiu się tak nie śpieszyłam, a jak już myślałam, że zdążyłam, to uciekł mi tramwaj. Z małym spóźnieniem dotarłam do Gosi. Tutaj zapakowaliśmy nasz samochód Mercedes Sprinter. Oczywiście brakowało jednej osoby – Wojtka, który nie mógł sobie odmówić jednego z wykładów i miał się pojawić dopiero przed budynkiem Wydziału Biologii, Geografii i Oceanologii.

Naszym poczynaniom przyglądał się reporter z „ Super Ekspresu”. Po dwóch godzinach pakowania bagaży i żywności jesteśmy gotowi i możemy jechać pod nasz wydział.

Całe szczęście, że samochód jest duży, bo nie wiem, gdzie by się zmieściły ta góra rzeczy i żywności, którą ze sobą zabieramy. „Kierowcy” dokonują ostatniego rozeznania naszej trasy przez Europę, przygotowanej przez Agatę. Jeszcze tylko symboliczny chrzest szampanem naszej Kryski, pożegnania i jedziemy. A dlaczego Kryśka? Imię pochodzi od matki chrzestnej naszego cudownie zielonego samochodzika.

Na uczelni pojawia się nasz kolega z „Dziennika Bałtyckiego” oraz ekipa telewizyjna TVN, robią wywiad. Śmiesznie to wygląda. W końcu jesteśmy gotowi do drogi. O 18:10 - wyjeżdżamy w naszą podróż. Przed nami około 3 500 km przez Europę.

Jedziemy już godzinę, zaczyna padać śnieg z deszczem, a potem to już sypie. Nasi kierowcy, czyli Agata, Waldek i Jarek z upływem czasu po kolei zmieniają się za kierownicą i przyzwyczajają się do psikusów Kryski.

## **13.04.2001 ( PIĄTEK!!!!)**

Godzina 01:25 – przed nami pierwsze przejście graniczne w Kostrzynie. Polacy przepuszczają nas bez problemów, a my martwiliśmy się o naszą żywność, i o to, że mogą nam ją skonfiskować z powodu choroby szalonych krów. Jak się jednak okazało - mogliśmy przewieźć całą krowę...

Pierwszy problem to Niemcy, którzy zażądali od nas opłaty tranzytowej w wysokości 126 marek!!!! Zdzierycy jedni. Co robić, zapłaciliśmy, innego wyjścia nie było. No chyba, że powrót do domu.

Można teraz już spać spokojnie. Ale w pewnym momencie budzą mnie jakieś drgania samochodu. Ci, co siedzą za kierownicą, chcieli jechać skrótem, żeby minąć Frankfurt, a znaleźliśmy się na jakichś wertepach. Byliśmy zmuszeni zawrócić.

Jedziemy dalej, humory mimo wszystko nam dopisują... zmieniają się ludzie na łóżku i za kierownicą.

6:15 - jesteśmy „gdzieś” na autostradzie w Niemczech... diabelnie zimno - koniecznie musimy jechać stąd na południe. Kolejna zmiana śpiących. Opuszczam ten fajny ciepłutki przybytek, choć teraz też mam dobre miejsce - właściwie moje ulubione - pilota.

Dzień się toczy, w tej chwili jest 16:30 - właśnie przekroczyliśmy granicę niemiecko - francuską. Za nami 1450 km, a to jeszcze nie jest połowa naszej drogi po autostradach Europy. Granicę przekroczyliśmy bez problemu, bo jak to w Unii po prostu jej nie było! Zrobiliśmy tam krótką przerwę. Konrad z Waldkiem znaleźli już pierwsze

jaszczurki... to jeszcze nie Afryka, a już są zachwyceni, jakby odkryli co najmniej jakiś nowy gatunek. W dodatku większość z nas przygląda się poszarpanej fladze francuskiej, która całkowicie nie pasuje nam do uporządkowanej Unii Europejskiej. Humory nadal dopisują, a jedziemy już prawie dobie.

Tu muszę napisać o psotach naszej Kryski... ma pewien talent... talent do ZAMULANIA SIĘ. Co to oznacza? Po pewnym czasie jazdy z prędkością 100 km i więcej Krycha się buntuje i jedzie maksymalnie 80 km na godzinę. Oszaleć można z taką prędkością na autostradzie. Wśród innych pojazdów na drodze porusza się niczym żółw. I można dociskać gaz, a ona i tak swoje 80 jedzie i ani myśli więcej. Ale my w końcu znaleźliśmy na nią sposób - trzeba na moment zjechać z autostrady i... „pogazować” na luzie, wówczas powinna jechać dalej... aż do następnego razu. Ciekawe jak będzie jutro? Jeszcze nadal pilotuję... tym razem Agatę.

No, nareszcie zrobiło się cieplej i o wiele bardziej zielono. Dobiega 19:00 - robimy sobie dłuższy postój na parkingu, „gdzieś” we Francji. Po raz pierwszy nasz kuchmistrz Wojtek wyciąga sprzęt kucharski i zaczyna się gotowanie. Pierwsza nasza wspólna kolacja zupka OPYCHA - my się. Smakuje każdemu!

Po kolacji znowu w drogę. Idę spać, bo jest już 20:00, a miejsce pilota zajmowałam od 6:00 rano, więc jestem zmęczona. Spanie mi jednak za bardzo nie wychodzi, gdyż w kółko się budzę na wieść o Hiszpanii, której... jeszcze nie widać, ale tak bardzo chce ją już zobaczyć, że na każde słowo o niej siadam na łóżku. Hi, hi, hi - Agata chce mi już nawet dołożyć, bo w kółko przypominam, żeby mnie obudzić przed granicą z Hiszpanią. Wcale się jej nie dziwię, to samo bym na jej miejscu zrobiła.

Aha, gdzieś po drodze „gubimy” korek od baku... hmm, chyba został na jakiejś francuskiej stacji benzynowej.

#### **14.04.2001 (sobota)**

W końcu wstaję!!!! Rwę na miejsce pilota, bo zaraz España i witam ją o 3.50!!! Nic jednak nie widać, bo jeszcze ciemno. Razem z Agatą przekraczamy granicę hiszpańską. Znowu sprawdzam kilometrą. Kryśka właśnie przejechała 2 270 km z Gdańska. Wszyscy śpią... ciekawe, co im się śni, ale na pewno nie to, co nam się za chwilę przydarzy... Hmm, zaczyna nam się palić kontrolka... trzeba zatankować, tylko... no właśnie, tylko brak nam chwilowo całodobowych stacji benzynowych. Kontrolka pali się i pali, a my jedziemy i jedziemy, a stacji jak nie widać, tak nie widać. W końcu mamy znak: stacja benzynowa za... 17 km, ale czy zdążymy??? Zaczyna się odliczanie kilometrów na liczniku... i w końcu na dwa kilometry przed stacją KONIEC - stajemy, bak pusty. Budzimy śpiących w samochodzie. Waldek myśli, że żartujemy. W końcu Wojtek i Waldek idą razem z baniakiem na stację po benzynę. A my w tym czasie... pchamy naszą Kryskę 900 metrów do przodu. No tak, dosięgnął nas pazur wczorajszego pechowego dnia – piątku, trzynastego!!! W tak zwanym międzyczasie dostajemy sms-a od Kuby, naszego przewodniczącego samorządu studenckiego. A oto jego treść: „Życzę Wam wielu wrażeń i PRZYGÓD...”, czyżby jakieś fatum???

Czekamy na benzynę i czekamy, a ich jak nie ma, tak nie ma. W końcu wyłaniają się z bardzo gęstej mgły. Jesteśmy uratowani!!! Ale czyżby? Waldek odkręca korek od baku a tu... kolejna niespodzianka - ten się urywa... i następne minuty spędzamy na próbach wyciągnięcia go. W końcu udaje się nam to zrobić, wlewamy paliwo, ale... nic z tego, samochód nie rusza..., niestety przewody paliwowe są za bardzo zapowietrzzone i nie ma szans na jazdę. Nie pozostaje nam nic innego, jak dopchać naszą Kryskę do stacji. Waldek za kierownicą, Agata z aparatem robi pamiątkowe zdjęcia, a reszta załogi pcha. Komiczny widok, który oczywiście musiał zostać uwieczniony na zdjęciach. Całe szczęście, że jest ciemno i na autostradzie nie ma nikogo, tylko czasami coś tam przejedzie. Ale w

końcu pojawia się i zatrzymuje policja. Waldek i ja idziemy do nich. Zaczynamy tłumaczyć, co się stało, choć nie jest łatwe wytłumaczenie naszej awarii w obcym języku, w dodatku, kiedy Waldek dodaje swoje pięć groszy, to ja mam więcej do tłumaczenia Hiszpanom, bo robi się mętlik i oni już nic nie mogą zrozumieć. Jednak udaje mi się w końcu załatwić sprawę, nawet nas eskortują na stację benzynową.

Dopychamy na nią Kryškę i tankujemy do pełna. Ale tu kolejna niespodzianka, znowu nie chce jechać! Pchamy ją, więc na parking i tam prosimy o pomoc hiszpańskiego kierowcę tira. Jarek mówi mi, żebym powiedziała temu kierowcy, że może mamy i tu cytuję: **ZAPOWIETRZONY PRZEWÓD PALIWOWY!!!!!!** Ciekawe, jak ja miałam to powiedzieć po hiszpańsku??? Kolejnym razem nauczę się na pamięć całej budowy takiego auta! Wszystko kończy się dobrze i możemy jechać dalej. Sprawa się jednak na tym nie kończy, bo teraz trwają niegroźne zatargi między Agatą, a Waldkiem. Agata upierała się przed wyjazdem, że powinniśmy na wszelki wypadek zabrać ze sobą niewielki kanister z kilkoma litrami paliwa, a Waldek twierdził, że nam to nie będzie potrzebne. Teraz potwierdza się słuszność słów Agaty.

Jedziemy przez Hiszpanię... ależ jest piękna. Praktycznie wszyscy śpią, bo są zmęczeni naszą nocną historią. Na moim zegarku właśnie minęła 9:15, przed nami piękne góry, w domu podobno pada śnieg, przygotowują koszyki ze święconką.

W końcu robimy za Tarragoną postój. Wieje tam diabelnie, więc postanawiamy pojechać parę kilometrów dalej. Na kolejnym parkingu jest już lepiej, nie wieje, za to jest ciepło. Idziemy się myć do toalety w... sklepie. Wyglądamy dziwnie, ale nam wszystko jedno. Po dwóch dniach jazdy przydałoby się umyć. Wyciągamy letnie ubrania. Umyci, przebrani, zabieramy się do gotowania jedzonka. Dziś poznajemy główne menu Wojtka, czyli soję z fasolką. Całkiem dobre, tylko że ciut za słone. Wojtek przesadził odrobinę z przyprawami. Dzwonimy do domu. Hi, hi, hi - tam tylko 3 stopnie powyżej zera i pada śnieg! Jak miło, że jestem akurat tutaj.

Znowu ruszamy w drogę, przejeżdżamy nad deltą rzeki Ebro – całkiem fantastyczny widoczek. Właśnie przejechaliśmy 2 616 km. Nasz cel coraz bliżej!

Mijamy po drodze niesamowite, różnorodne krajobrazy Hiszpanii. Robimy sobie jak zwykle małą przerwę - to czas na zdjęcia w opuszczonym starym domu i wśród ogromnych kaktusów. W końcu docieramy do Andaluzji, wieczorem widzimy góry Sierra Nevada - pasmo Gór Betyckich z ośnieżonym szczytem Mulhacén.

Jedziemy przez południową Hiszpanię, skończyły się już autostrady. Znowu mamy mały problem z... paliwem, a nigdzie nie chcą dolarów, bo również stacje benzynowe są niepozorne. Gdy trafiamy na kolejną, tu już musimy zatankować, bo inaczej biada nam. Nie chcą dolarów, tylko swoje pesety. Odsyłają nas do pobliskiego hotelu i restauracji, gdzie podobno możemy wymienić walutę. Udajemy się tam, ale oczywiście dolarów nie chcą. W końcu jednak sprzedajemy marki. Gość za ladą, wymieniający nam pieniądze na pesety, robi to tak konspiracyjnie, jakby dokonywał jakiegoś przestępstwa. Co chwilę wychodzi na zaplecze, podobno tam sprawdza kurs. Ostatecznie dokonujemy pomyślnie transakcji i w ostatniej chwili udaje się nam zatankować, bo zamykano już stację. Wszyscy idą teraz spać, choć nikt wcześniej przed zatankowaniem nie chciał tego uczynić, ponieważ... za kierownicą siedziała Agata, a ja byłam jej pilotem. Hi, hi, spodziewali się nowych niespodzianek.

Jest coraz później i później. Przebyte kilometry dają się we znaki - wszyscy śpią. Mnie i Agacie też już chce się spać. Jest 1:00 w nocy - Wielkanoc - Agata ledwie żyje. Stajemy na jakiejś podejrzanym stacji benzynowej 20 km przed Algeciras - przystanią promową. Nikt się nie obudził – zmorzył ich kamienny sen. Zamykamy się w samochodzie i wreszcie udajemy się w objęcia Morfeusza. Przybieramy dość ciekawe pozycje do spania, zwłaszcza Agata, której nogi lądują na kierownicy, ze mną jest lepiej... Śpimy z Agatą

czujnie, bo za oknem naszego samochodu dzieją się podejrzane rzeczy, czyżby jakiś nielegalny handel??? Kręci się policja, ale nas omija. Śpimy do 7:30.

## 15.04.2001 - WIELKANOC

Nastał ranek... 7:30, budzimy się z Agatą i ruszamy do Algeciras. Wszyscy są lekko zdziwieni, że... nie jesteśmy jeszcze na miejscu. Po drodze zatrzymujemy się na małej stacyjce i tam szybko się myjemy, po czym jedziemy na przystań promową. Dojeżdżamy do miasta portowego. Jest ósma z kawalkiem. Znowu sprawdzam ile kilometrów zrobiliśmy przez Europę. Według moich obliczeń jest to 3 569km!!!

Udajemy się na przystań, aby kupić bilety na prom. Tutaj trochę się wahamy, gdzie te bilety zakupić, bo jest mnóstwo tzw. naganiaczy. Z kolei w głównym budynku znajdują się same przedstawicielstwa różnych firm przewozowych sprzedających bilety na ten sam prom, tyle że po różnych cenach. I co tu wybrać? W końcu decydujemy się kupić bilety w przedstawicielstwie, w którym ceny są znośne, a sprzedające ubrane są w uniformy. Tu chyba by nas nie oszukali. I kupujemy płacąc za wszystko 75 550 peset ( 2 495 peset za osobę i 15 320 za naszą Kryškę w jedną stronę).

O 9:30 zegnamy starą Europę i ruszamy naszym promem do Afryki. Promem przez cały czas niezłe buja na wszystkie strony, ale nikt, na szczęście, nie cierpi na chorobę morską. Zostajemy na otwartym pokładzie, żeby oglądać i robić zdjęcia. Mijamy przylądek Europy - Gibraltar i po niespełna godzinie jesteśmy w Ceucie - hiszpańskiej enklawie w Afryce. Opuszczamy prom i udajemy się w stronę przejścia granicznego z Marokiem. Zanim jednak przekroczymy granicę, udajemy się do kantora i wymieniamy dolary na walutę marokańską - dirhamy, po czym tankujemy cały bak naszej Kryški. Widać, że jesteśmy w strefie wolnocłowej, bo litr benzyny kosztuje około 1,6 zł. Taniocha w porównaniu z tym, co trzeba zapłacić w Niemczech (około 3,3 zł).

Hi, hi, zanim jeszcze przekroczymy granicę dzwonię do domu... żeby powiedzieć rodzinie, że jestem w Afryce!

Ruszamy na przejście graniczne. Tu czekają nas już pierwsze niespodzianki. Na granicy widzimy Marokańczyków ubranych w dżelaby z... kapturkami! Śmiesznie w nich wyglądają. Jesteśmy pod takim wrażeniem, że zapominamy o przestrożach. Zaraz łapie nas taki „ludek”, który chce nas szybko przeprowadzić przez granicę, licząc na dodatkowy zarobek. Wcześniej czytaliśmy, że są tam tacy naciągacze. Rzeczywiście szybko nas przeprowadza, ale pojawiają się problemy. Po wypełnieniu stosiku papierków okazuje się, że mamy dość poważny problem. Nie chcą nas wpuścić do Maroka, bo nie mamy dokumentów, które wskazują na to, że samochód jest wypożyczony. Zaczyna się dwugodzinne czekanie, bieganie i załatwianie. Stoimy sobie na przejściu przez ten czas i mamy możliwość przyjrzenia się Arabom. Zaskakuje nas już brud zastany na granicy. Przez dwie godziny mogliśmy do woli przyglądać się zdechłemu szczurowi, który leżał obok naszej Kryški. Ostatecznie puszczają nas, po obejrzeniu naszych pism uczelnianych. Nie wiem, co na nich tak podziało, bo przecież nie umieli tego przeczytać, więc czyżby pieczęć? A może jak zwykle czar naszego szefa wyprawy – Waldka? Nasz „przeprowadzacz” nie dostaje ani grosza, choć początkowo dawaliśmy mu 5 dirhamów, ale on stwierdził, że to mało. Więc nie dostał nic, a my zadowoleni, że w końcu udało nam się wjechać do Maroka, możemy ruszać w drogę. Jeszcze tylko przesuwamy wskazówki zegarka dwie godziny do tyłu i możemy już cieszyć się krajem. Przez to przesunięcie czasu nie odczuwamy tego, że musieliśmy sterczeć na przejściu granicznym przez dwie godziny.

Już pierwsze miasto zaraz za przejściem granicznym - Sebta - wywołuje u nas okrzyki zdziwienia. Gdzie się człowiek nie obejrzy tam stopy śmieci. Miałam wrażenie, że jestem na śmietniku. A jakie zapachy!!!! Wszędzie osły, wielbłądy, co kto chce! Przejeżdżamy przez

coś, co chyba miało być rynkiem. Tyle, że jest on w starym korycie rzeki i... wygląda raczej tragicznie. Jest to jeden wielki śmietnik. Jedyne główna ulica miasta wygląda jako tako, ale jak tylko zajrzeć do tych bocznych, to znowu wraca śmietnik. Opuszczamy tą pierwszą miejscowość. Po drodze mijamy Marokańczyków grających w kule.

Dojeżdżamy do Tetuanu i tu robimy krótki postój na wielkanocne zakupy. Kupujemy nawet jajka z... wystawy, oby bez jakiejś salmonelli.

W tym czasie Waldek już znalazł knajpkę. Hmm, knajpkę to za dużo powiedziane. Nawet nie wiem jakiego słowa użyć do określenia takiego miejsca, bo nie mieści się w żadnej klasyfikacji punktów gastronomicznych. Tam kupujemy „ichniejszy” chleb nadziany oliwkami (zielonymi i czarnymi) i polany ostrym sosem. Siadamy i jemy, rozglądając się po pomieszczeniu. W pewnym momencie dostrzegamy... dorodnego karalucha(!) spacerującego po ścianie. Całe szczęście, że przed wyjazdem zaszczepiliśmy się. Czarne oliwki nikomu nie smakują i chcemy je gdzieś wyrzucić, ale śmietnika to nigdzie nie ma. O zgrozo, właściciele każą nam wypłuwać na podłogę. Po zjedzeniu biorą miotłę i zmiatają to razem z trocinami na kupkę prosto w róg pomieszczenia, gdzie zresztą leży już więcej takich odpadków!

Potem trafiamy z kolei na nanę, czyli bardzo słodką herbatę miętową. Dla mnie przepyszna. Chyba zostanie moim ulubionym napojem. Obok nas pod ścianą knajpki siedzi starzec, który coś popala, czyżby to był ten sławetny kif?

Po takim jedzeniu byliśmy zmuszeni śniadanie wielkanocne przełożyć na... kolację. Tak się najedliśmy, że nie było innej rady.

Uff, robi się coraz cieplej. Jedziemy do Moulay Bouselham - ptasiego rezerwatu. Poruszamy się nawet po autostradzie (!!!), mijamy ciekawe formy erozyjne oraz... szkielet, ale czego? Osła? Wielbłąda?

Zadziwia nas to, że jest tu bardziej zielono niż w Hiszpanii. Co do zielonego, to nasza Kryśka przez swój kolor, nalepki i powiewającą na dachu flagę Polski wzbudza niesamowite zainteresowanie tubylców.

I w końcu widzę Atlantyck!!!! Dojeżdżamy na camping w Moulay, całkiem niezły i... tani. W przeliczeniu jakieś cztery złote. Pierwsze, co robimy, to wychodzimy na brzeg laguny. W pewnej chwili widzimy, że z przystani biegną lub płyną motorówkami w naszą stronę jacyś ludzie i coś tam wrzeszczą. Każdy chce być pierwszy i zdobyć klienta na pływanie po lagunie. Waldek rozpoczyna targowanie się i... zaraz zamiast 40 dirhamów od osoby płacimy tylko 20! Inni Marokańczycy nie dają za wygraną i też chcą nas pozyskać, więc jest strasznie dużo krzyków przy negocjacji cen. W dodatku Waldek co chwilę łapie się za głowę pokrzykując, że my nie jesteśmy Amerykanami, tylko studentami, więc niech nie żądają od nas tyle pieniędzy. Jednak zostajemy już przy „naszym” przewodniku, który już mówi o sobie, że jest naszym przyjacielem, co potwierdza poklepywaniem Waldka. To taki ich specjalny wybieg, żebyśmy czasem nie wzięli sobie innego przewodnika. Ostatecznie jesteśmy umówieni z nim o szóstą rano.

Wreszcie postanawiamy zabrać się za robienie naszej wielkanocnej obiadokolacji. Wychodzi nam to perfekcyjnie. Agata zabrała z domu nawet biały obrus, palmę i... wielkanocną babę, która przeżyła podróż przez Europę. Mamy też pisanki i żółtego kurczaczka. Zjadamy gotowane jajka. Mam nadzieję, że są bez jakiejś niespodzianki.

Po jedzonku idziemy zobaczyć miejscowość i wybrzeże Oceanu Atlantyckiego. Nawet lądujemy w knajpce na... coca – coli. Wszędzie są sami mężczyźni, żadnych kobiet, no chyba tylko my - turystki. Teraz dopiero zaczyna się nocne życie.

Później oglądamy pierwszy marokański suk, stanowiący nieodłączny element każdego mużulmańskiego miasta. Standardowy suk obejmuje gęstą sieć uliczek. Na pierwszy rzut oka wydaje się być prawdziwym galimatiasem domów przypadkowo wzniesionych tam, gdzie znalazł się choćby kawałek wolnego miejsca. W rzeczywistości jego lokalizacja podlega

ściślym regułem. Suki z dywanami osobno, tak samo suki z odzieżą tworzą odrębną część. Każdy rodzaj danego towaru znajduje się w określonej części całego targu. Docieramy do jednego z nich. Tutaj możemy zobaczyć jak miejscowi patroszą ryby na poboczu chodnika (o ile można to nazwać chodnikiem). W tym czasie z pobliskiego meczetu słyszymy wzywianie muezina na modlitwę. Wracamy na camping. Jeszcze tylko oglądamy niebo. Jest tyle gwiazd, że aż trudno rozpoznać gwiazdozbiory. Idziemy spać. Po tak ciepłym dniu następuje chłodna noc, taka, że z powodzeniem można byłoby się zahibernować. Dziś możemy spać spokojnie, nie będzie żadnych przygód z Kryską. Wszyscy są zmęczeni, a jutro trzeba wstać.

### **16.04.2001 ( lany poniedziałek)**

Rano zasypiamy i zamiast o piątej, budzimy się pół godziny później. To chyba daje się jeszcze we znaki podróż przez Europę. Robimy szybką herbatkę i z naszym przewodnikiem ruszmy na dwie godziny pływania po lagunie. Jest ona w Maroku jednym z najlepszych miejsc do obserwacji ptaków. W czasie pływania po rozlewiskach oceanu mogliśmy podziwiać różne nieznane nam gatunki ptaków. Największą frajdę zrobiły nam stada różowych flamingów, których nie mogliśmy obejrzeć z bliska, gdyż był odpływ i poziom wody uległ obniżeniu, więc nie można było wszędzie dopłynąć naszą łajbą. Przewodnik, całkiem miły gość, sporo nam opowiadał. Mieliśmy też „mały” problem z... silnikiem naszej łódki, który po prostu padł. „Szef” musiał go trochę rozkręcić, wyjąć świece, by je przeczyścić. Wszystko skończyło się dobrze i mogliśmy pływać dalej. Po drodze widzieliśmy rybaków oraz kobiety, które zbierały ślimaki na mieliznach odkrytych podczas odpływu.

Po powrocie jemy śniadanko i zabieramy się za czyszczenie naszej Kryski, aby wyglądała należycie na spotkaniu w polskiej ambasadzie w Rabacie, gdzie mamy zamiar pojechać. Gdy tak sobie ją czyściliśmy, przypomniało nam się, że dziś jest lany poniedziałek i zaczęliśmy oblewać się wodą z dużych butli. Nikt nikomu nie pozostawał dłużny. Wodna bitwa trochę trwała, wzbudzając zdziwienie ludzi znajdujących się na campingu. Efekt końcowy był taki, że Kryśka była czysta, a my wszyscy cali mokrzy. Już dawno nie odczułam tak mokro lanego poniedziałku. Tutaj jest tak ciepło, że chwila moment i jest już się suchym.

Około godziny 11:00 opuszczamy camping i udajemy się do stolicy Maroka - Rabatu. Tam zostajemy zaskoczeni niesamowitym ruchem ulicznym i brakiem przestrzegania jakichkolwiek przepisów drogowych. Panuje tu chaos i zasada - kto pierwszy ten lepszy, co często kończy się wgnieceniem karoserii auta. Tu nikt nic sobie nie robi z tego, że na ulicy stoi policjant. Można spokojnie łamać prawo. Sama nie wiem, po co taki policjant tam stoi. My zatrzymaliśmy się na dużym skrzyżowaniu i nie wiedzieliśmy czy mamy ruszać, czy nie, zdążymy, czy nie zdążymy. Waldek siedzący za kierownicą, ze zdenerwowania, zaczął używać niecenzuralnych słów. W końcu jakoś udało nam się to przejechać.

Aha, wszyscy trąbią do woli, a nam pozostaje pokrzykiwanie, bo nasze autko ma zepsuty klakson... Nie polecam jazdy w kraju arabskim bez sprawnego klaksonu.

Zaczynamy szukać polskiej ambasady, a jest to raczej bardzo trudne, bo posługujemy się mało dokładnym planem miasta zamieszczonym w naszym przewodniku, a w dodatku w rzeczywistości rzadko która ulica ma szyld z nazwą. W ostateczności trafienie w szukane miejsce graniczy z cudem. Kręcimy się w kółko, za każdym razem myśląc, że już jesteśmy na miejscu, a tu figa z makiem. Zawsze wypadała inna ulica, gdzieś w pobliżu naszej ambasady. Ale ostatecznie udaje się nam trafić do celu. Ubrani w koszulki z logo naszej wyprawy atakujemy ambasadę. Okazuje się, że ze względu na święto jest zamknięta, ale próbujemy dzwonić. Udaje się i zostajemy przyjęci przez radcę. Pojawia się także attache kulturalny i studentka arabistyki. Zostajemy poczęstowani zimnymi napojami, oliwkami, daktylami, a nawet świątecznym ciastem. Spotkanie w ambasadzie trochę trwa, bo radca

razem ze studentką sporządzają nam pismo po arabsku, które może być pomocne w naszej dalszej podróży. Potem porywamy Jagnę (bo tak miała na imię studentka arabistyki) i ruszamy zobaczyć stolicę. Przejeżdżamy obok Wielkiego Meczetu, Pałacu Królewskiego, w którym urzęduje obecny król Maroka syn Hassana II - Mohammed. Zostawiamy samochód. Tu następuje mała tragedia, bo nasza Kryśka dzięki Agacie w czasie parkowania wzbogaca się o wgniecenie i rysę na długości prawie całego samochodu! No dobrze może przesadziłam... rysa była na jakieś pół metra, ale ślad tarcia o drugi samochód był prawie na całej długości naszej Kryśki.

Po tym incydencie możemy udać się najpierw do starej medyny, a potem do Kazby des Oudaias - skąd na przeciwległym brzegu rzeki Bu - Regreg znajduje się Salé - miasto piratów. Z kazby rozciąga się widok na ujście rzeki i Ocean Atlantycki.

Kazba to rodzaj budowli miejskiej, którą można spotkać również w południowej części Maroka. Pod względem stylu przypomina obronną wioskę. Budowle takie powstawały z polecenia miejscowego potentata i były głównym ośrodkiem na terytorium, które jemu podlegało. Są to zwykle kwadratowe budowle z suszonej cegły.

Jagna opowiada nam o kulturze arabskiej, zwyczajach, uniwersytecie. Waldkowi na suku mało co nie zwędzono aparatu fotograficznego. Ktoś próbował mu przepalić pasek od aparatu.

Postanawiamy także wstąpić gdzieś, aby zjeść. Każdy jest zachwycony. Jemy kuskus z kurczakiem, zupełną harirę oraz maczamy chleb w bardzo ostrym sosie. Dla mnie raj, bo wszystko pikantne.

Nadchodzi godzina powrotu. Dochodzimy do samochodu, a tam czeka na nas niespodzianka. Na kole mamy założoną... blokadę. Jagna biegnie się dowiedzieć, o co chodzi. W końcu okazuje się, że blokadę założył nam... parkingowy. Nie wiedzieliśmy, że to parking, bo w tę uliczkę wjechaliśmy... pod prąd! Tak nas pokierował policjant!!!! Jakby tego było mało, Agata z nudów poszła zrobić zdjęcie arabskiemu znakowi stop, tyle że za nim w oddali było jakieś ministerstwo i nie minęło kilka minut, jak pojawił się jakiś tajniak w cywilu, zamachał legitymacją i poprosił ze sobą Agatę. Jagny jeszcze nie było, więc tę sytuację usiłował wyjaśniać Wojtek, jako że znał francuski. Wszystko kończy się dobrze. Po uiszczeniu opłaty za parking zdejmują nam blokadę, a Agatę puszczono, gdy oddała film.

Bogaci w nowe doświadczenia, śmiejąc się do rozpuku, opuszczamy wesołą stolicę Maroka. Udajemy się w kierunku wodospadów Ozoud. Zapada zmrok, a my jedziemy. Wszystkie samochody z naprzeciwka jadą na długich światłach oślepiając nas. Początkowo nie wiemy, o co chodzi, ale wkrótce wyjaśnia się to. Okazuje się, że poboczem drogi jadą bez świateł... ludzie na osiołkach!!!

Co chwilę gubimy drogę, bo jakoś mapa nie odpowiada zastanej rzeczywistości. Dojeżdżamy do nieznanego miejscowości i okazuje się, że przejechaliśmy nasz zjazd. Musimy zawrócić. Zawracamy, a drogą jedzie na nas jakieś auto, a my, nie mając klaksonu, możemy tylko machać przez okno lub pokrzykiwać, żeby nadjeżdżający się zatrzymał. Jakoś udaje się nam trafić na właściwą drogę, ale tylko na pewien czas, bo potem znowu nasza mapa nie zgadza się z tym co za oknem, a może jest po prostu za ciemno.

Ostatecznie postanawiamy zatrzymać się i spędzić noc na poboczu drogi. Rozbijamy przed samochodem jeden namiot. Hmm, jesteśmy w nieokreślonym rolniczym terenie, a obok chyba fabryka, ale pociemku nic nie widać. Przekonamy się jutro rano. Teraz idziemy spać, bo dzień był pełen niesamowitych wrażeń. Zwłaszcza dla biednej Agaty, która zapamięta go na długo.

**17.04.2001 ( wtorek)**

Ranek na poboczu drogi... ludzie w polu, idące poboczem drogi osiołki, jakieś kobiety czekające na autobus, idące „krasnoludki"... i my z Kryską. Ciekawy widok. Wzbudzamy ogólne zainteresowanie tubylców i odwrotnie. Aparaty ruszają do robienia zdjęć.

Najpierw poranna toaleta na poboczu drogi i znowu możemy jechać dalej. Wodospady na nas już czekają. Dlatego wsiadamy i jedziemy. Znowu serpentyny, ale za to widoki niesamowite. Dojeżdżamy do ogromnej zapory wodnej w okolicy Bin - el Quidane, ale niestety nie możemy tego sfotografować, bo jest obstawiona wojskiem. Wszyscy uzbrojeni. Toteż przejeżdżamy po zaporze i zatrzymujemy się nad zbiornikiem wodnym. Jest gorąco, ale postanawiamy ugotować jakieś jedzonko. W międzyczasie, każdy rozchodzi się w swoją stronę w poszukiwaniu Bóg wie, czego. Wojtek zostaje gotować, Agata z Hanią siedzą w cieniu samochodu, Renia i ja robimy zdjęcia piorącym na kamieniach kobietom, Konrad z Waldkiem i Gosią popędzili gdzieś z... siatką na motyle. Ciekawe, co upolują, bo siatka taka wielka, że chyba nie na motyle, a na jakieś większe stwory.

Staję się też świadkiem ciekawej sytuacji między dwiema kobietami. Koza z jednego stada uciekła do stada drugiego. Kobiety zaczęły się kłócić. Po czym jedna z nich złapała swoją kozę - uciekinierkę za nogę i zaczęła ją ciągnąć do swojego stada. Komicznie to wyglądało, ale najbardziej żal mi było biednej kozy ciągniętej po ziemi. W dodatku krewka Marokanka przez cały czas okładała kozę kijem i coś tam do niej krzyczała. Czyżby miała to być reprimenda za przewinienie?

W czasie naszego postoju w pewnej odległości stały marokańskie dziewczynki, które nie chciały do nas podejść. W zasadzie to może i chciały, ale jak tylko zbliżały do nas, jakaś starsza kobieta siedząca pod drzewem na nie krzyczała.

Po obiedzie ruszamy dalej. Mijamy liczne stare kazby i postanawiamy przy jednej z nich się zatrzymać i obejrzeć z bliska.

Gospodarze kazby zapraszają nas do środka. Okazuje się, że właściciel zna francuski i można się z nim dogadać. Opowiada nam o kazbie, wybudowanej w 1914 roku oraz o swojej rodzinie. Pozwalają robić nam zdjęcia. Wchodzimy, aby obejrzeć, jak mieszkają tutaj ludzie. Warunki, według nas, raczej makabryczne. Aby znaleźć się na głównym placu, trzeba przejść przez dwie obórki z kurami i koniem, a potem jeszcze... minąć sypialnię, w której znajduje się tylko siennik. Możemy zobaczyć, jak kobiety łuskają zboże. Na koniec widzimy jeszcze, jak pod kazbę zajeżdża... samochód jednego z synów gospodarza. Takie kontrasty w Maroku to codzienność. Wracamy do samochodu, a tam czeka na nas gromada dzieci z pobliskiej szkoły, częstują nas czymś, co dla mnie wygląda jak ozdobny groszek, ale smakuje całkiem, całkiem. My dajemy im cukierki. I znowu ładujemy się do Kryski. Mamy trudności z odjazdem, bo na drodze stoi za dużo dzieci, w końcu udaje nam się je wyminąć.

Wkrótce pojawia się tablica: Ozoud. Nazwa miejscowości oznacza w języku berberyjskim oliwki, a odnosi się do okolicznych gajów oliwnych. Jesteśmy na miejscu, ale i tu od razu pojawia się „przewodnik”. Postanawiamy skorzystać z jego usług, chociaż nie wszystkim z naszej grupy to się podoba. Wojtek z Konradem wolą iść na własną rękę.

Po zakwaterowaniu się na campingu ruszamy na trzygodzinną wycieczkę, która przedłuża się i trwa prawie pięć. Ale była tego warta. Zaczynamy od wodospadów, mających 160 metrów wysokości. Później idziemy wzdłuż doliny rzecznej, podziwiając liczne mniejsze kaskady. Nasz przewodnik prowadzi nas na miętową herbatkę, do takiego straganu ulokowanego naprzeciw wodospadów. Gdy przychodzi moment zapłaty, staje za ladą małego sklepiku... czyżby był tutaj właścicielem? Po drodze pokazuje nam korzenie, które uległy fosylizacji, czyli krótko mówiąc skamieniały. Dochodzimy do ciekawego miejsca, gdzie rzeka ginie w skalnej dziurze, aby następnie wypłynąć z drugiej strony. W pewnej chwili nieomal tracimy naszą Renatkę. Nieopatrznie poślizgnęła się na skale, ale na szczęście



wpadła prosto w ramiona naszego przewodnika, ten zaś nie ukrywał swojego zadowolenia z faktu, że mógł obejmować takie puszyste kształty.

W końcu dochodzimy do miejsca styku trzech rzek i jaskini. Tam chwilę zostajemy, bo Marokańczyk przekracza rzekę, aby przynieść nam z tajnej bimbrowni, znajdującej się między skałami, pół litra tubylczej, wody ognistej. A podobno Arabowie nie mogą pić alkoholu... Jak się dowiedzieliśmy panuje tutaj taka zasada, że kiedy Allah nie patrzy, to pić można. Tylko kiedy on nie patrzy? Czy to znaczy, że jak siedzą i pędzą bimber w załomach skalnych to ich nie widzi?

Zaopatrzeni w lornetki śledzimy poczynania Marokańczyka, który po kilku minutach wraca przynosząc alkohol w plastikowej butelce. Robiony jest na wódce izraelskiej i figach. Próbuje. Smakuje... strasznie!!! Wypala mi gardło! Zresztą nie tylko mnie.

Przez całą drogę przewodnik bezskutecznie próbuje wcisnąć nam kif - arabską odmianę marihuany. Możemy za to sobie ją obejrzeć.

W powrotnej drodze zażywamy kąpieli pod jedną z kaskad. Nurt wody jest tak silny, że jeśli tylko uda się kawalek odpłynąć od brzegu w stronę wodospadziku, to zaraz jest się zepchniętym z powrotem do brzegu. Woda jest porażająco zimna, po wyjściu zamieniam się w sopelek lodu. Nie mogę się ogrzać, a zęby same mi latają i nie mają zamiaru przestać. Jeszcze tylko zostaje nam przeprawa tratwą u samych stóp wodospadów i wracamy na camping. Nie udało się nam zobaczyć małp. Powiedziano nam, że już śpią. Podejrzewamy, że nasz przewodnik zrobił nas w balona, a małp to tu wcale nie ma.

Pora na wieczorną kolację, na której pałaszujemy kupione w Rabacie oliwki i możemy iść spać przy szumie znajdujących się w pobliżu wodospadów. Kilka metrów za płotem campingu płynie rzeka, która spada potem jako wodospad.

## **18.04.2001 ( środa)**

Z samego rana wpada do nas przewodnik z wiadomością, że makaki wstały. Pędzimy razem z nim i rzeczywiście... całe stadko małp hasa w pobliżu wodospadów!

Po śniadaniu ruszamy „w stronę Marrakechu”. Przed nami około 160 km drogi. Jak zwykle zatrzymujemy się kilkakrotnie po drodze. Jednym z takich przystanków była pewna osada. Wszyscy rozbiegają się robić zdjęcia. Nad jednym z glinianych domów góruje... antena satelitarna!!!!

Przy samochodzie pojawia się tłumek mieszkańców osady, jeden z nich jest na motorze, co wzbudza ciekawość Jarka. Udaje mu się pożyczyć motor, aby przejechać się po wsi. Jednak, jak to z Jarkiem bywa, musiało to się skończyć pechowo. Chcąc pokazać Hance i Reni jak jedzie, otarł się o ścianę jednego z budynków. Trzeba było wyciągnąć naszą apteczkę i przystąpić do opatrywania ręki delikwenta.

Dojeżdżamy do Marrakechu – niepisanej stolicy południa. Tutaj charakterystycznym kolorem jest czerwień. Czerwone mury okalają medinę, w której wznoszą się pokryte czerwonymi dachami domy. Legenda berberyjska mówi, że kiedy w centrum miasta budowano meczet Kutubia, połało się tyle krwi, że wszystkie mury, domy, a nawet drogi na trwałe uzyskały czerwoną barwę.

Pierwsze, co robi na nas duże wrażenie, to niezliczona ilość palm. Udaje się nam odwiedzić także... supermarket, pierwszy i jedyny jaki widziałam w Maroku.

Zaczynamy poszukiwania campingu. I oczywiście znowu mamy nie lada problem z jego odnalezieniem. Czemu Marokańczycy nie chcą podpisywać ulic? Po dobrej godzinie jazdy w kółko docieramy na miejsce, ale okazuje się, że „nasz” camping został przeniesiony poza miasto. Nie pozostaje nam nic innego, jak pojechać tam. Oczywiście znowu zaczyna się kluczenie i jeżdżenie po tych samych ulicach. Ostatecznie docieramy do celu. Kryskę postanawiamy zostawić na campingu i wynająć dwie taksówki, bo robi się już ciemno. Zanim

jednak wsiedliśmy okazało się, że ładują do nich po 6-7 osób. No i po licznych targach zbiliśmy cenę za przewóz, tym bardziej, że o północy umówiliśmy się na powrót i te same taksówki miały na nas czekać w medinie. Naszego kierowcę nazwaaliśmy Makaka, ponieważ przez całą drogę skakał na siedzeniu i rechotał wniebogłosy, a jechał jak pirat drogowy, środkiem drogi trąbiąc bez przerwy na innych, zresztą inni użytkownicy drogi nie byli mi dłużni. Zapewne był na kifie, bo tak mu było wesoło, w dodatku śmieszyła go fonetyka naszego języka, przedrzeźniał nas przez całą drogę, co najbardziej denerwowało Hanke. Byliśmy zadowoleni, kiedy wreszcie mogliśmy opuścić taksówkę i jej szalonego kierowcę. Wówczas też zobaczyliśmy starą medinę nocą.

Udajemy się na główny plac Marrakechu - Dżemaa - el - Fna. Trafiamy do świata niczym z baśni tysiąca i jednej nocy. Tutaj koncentruje się życie towarzyskie w Marrakechu. Wieczorem rozpoczyna się fascynujący spektakl. Cały plac zapelnia się różnymi stoiskami, skąd unoszą się niesamowite zapachy i jest się cały czas zapraszany przez właściciela na spróbowanie jego specjałów. Nie próbowaliśmy tych specjałów, ale skusiliśmy się natomiast na sok z pomarańczy, który był wyciskany prosto z owoców. To był dopiero sok!!! Świeży i w 100% pomarańczowy.

Wszędzie szamani, odpędzający za pomocą jakichś ptaków nieznane mi duchy. Cały plac zapelniony jest grupkami ludzi ustawionymi w kręgu, a w każdym takim miejscu opowiadana jest jakaś stara, barwna opowieść przekazywana ustnie z pokolenia na pokolenie. Szkoda, że nie znam arabskiego. Narrator takiej historii wyposażony jest w nieliczne rekwizyty, a mimo tego potrafi oddać w niesamowity sposób charakter legendy. Czasami opowieści towarzyszy akompaniament muzyczny.

Na placu można spotkać fakirów chodzących boso po stłuczonym szkle, grajków, połykaczy ognia. Każdy z nich otoczony jest ciasnym kręgiem gapiów. To tutaj można spotkać ludzi sprzedających różne dziwne rzeczy mające na celu leczenie. Można zaopatrzyć się np. w ogon czegoś tam, jakąś skórkę itp., a każda rzecz leczy coś innego. Nie jest ważne, na jaką chorobę ktoś cierpi – sprzedawca wybierze jakąś miksturę, dzięki której chory pozbędzie się swojej dolegliwości. Na placu można spotkać żywe, bądź wypchane zwierzęta, służące do... celów leczniczych. Jeśli ktoś ma chore gardło, musi zażyć popiół ze spalonej wrony, która najpierw musi być ogłuszona, a potem spopielenona w kuchennym garnku. To tylko jeden z wielu przykładów zastosowania starej medycyny arabskiej.

W czasie, gdy Waldek próbował złapać butelkę napoju na wędkę, Agacie i mnie pomalowano brązową henną dłonie. Oczywiście chciano nas „oskubać”. I tak trochę przepłaciłyśmy. Całe szczęście, że wzorki były ładne. Jednak henna po kilku dniach zeszła, i tylko ślad wzorku został, gdyż opaliłyśmy się. Waldkowi nie udało się złapać butelki, a Marokańczyk zabrał mu w końcu wędkę, bo łowił już za długo.

We trójkę poszliśmy na lody. Bardzo mi smakowały. Chodząc ulicami trafiamy na kafejkę internetową i oczywiście musimy tam wejść. W czasie, kiedy Agata i ja piszemy maile, Waldek zawiera znajomość z właścicielem kafejki i jakąś dziewczyną, co kończy się oczywiście wymianą adresów. Internet działa chyba na obietki od ziemniaków. Tempo rzeczywiście prawie zerowe, ale nie ma co narzekać, bo przynajmniej działa.

Potem zagłębiliśmy się w świat małych i ciemnych uliczek suku, przyglądając, co też ci Arabowie tam sprzedają. Labirynt uliczek jest niesamowity, o czym przekonuje się Renia z Gosią, bo błądzą w nich. A potem mają nie lada problem, aby wydostać się stamtąd, w dodatku jest już późny wieczór, ciemno.

Nie można było spokojnie przejść obok straganu czy sklepu, bo zaraz było się wciągany do środka, żeby coś kupić.

W końcu Jarek i ja postanawiamy kupić sobie dzelaby. Wchodzimy do sklepu i zaczynamy się targować. Sprzedający każe nam przymierzać, a gdy już mamy je na sobie, to nie pozwala ściągnąć, tylko żąda zapłaty. Po jakiejś pół godzinie, zamiast 300 dirham

za sztukę płacimy po sto. Ale sprzedający chce jeszcze jakiś PREZENT od nas!!! Co do targowania się, jest taka prawidłowość, że jeśli sprzedający uważa, iż nie zrobił dobrego interesu i ma pewien niedosyt, to prosi kupującego o prezent. Może być też sytuacja odwrotna, jeśli sprzedający uzna, że zrobił bardzo dobry interes, to jeszcze sam dorzuca od siebie prezent dla kupującego.

Zaczynamy czegoś szukać w naszych plecaczkach. Jarek daje mu podręczny zestaw igieł i nici do szycia oraz długopis, ode mnie dostaje również długopis i... klej super glue. Strasznie się cieszy z tego kleju i pokazuje nam na swoje... oko!!!! Rety, on myślał, że to jakieś krople do oczu! Trzeba było mu wytłumaczyć, do czego to coś służy. Jednak, jak się dowiedział, też był zadowolony, a my z dżelabami mogliśmy udać się pod meczet Kutubia, pod którym wszyscy umówiliśmy się koło północy. Meczet ma 70 metrów wysokości i jest doskonale widoczny z odległości wielu kilometrów z każdej strony świata. Jego nazwa pochodzi od arabskiego słowa oznaczającego książki. Wywodzi się od targu książkowego, jaki kiedyś rozciągał się wokół meczetu.

Siedząc pod meczetem, wszyscy dzielą się swoimi wrażeniami, a Jarek i ja prezentujemy nasze dżelaby.

Punktualnie pojawia się nasz Makaka ze swoją taksówką. Znowu czeka nas niesamowity powrót. Makaka jedzie jakoś cicho, czyżby kif przestał działać? Gdy tak sobie z niego żartujemy, jego amok wraca i Makaka na nowo chichocze i podskakuje przy kierownicy. Całe szczęście, że żywi docieramy na camping i już spokojnie idziemy spać.

#### **19.04.2001 ( czwartek)**

Po przeciągającym się w nieskończoność śniadaniu możemy ruszać do miasta i zobaczyć je za dnia. Jak zwykle mamy problem, co zrobić z naszym samochodem. Znowu kręcimy się szukając odpowiedniego miejsca na postój, takiego, żebyśmy po powrocie zastali i samochód, i jego zawartość. Nareszcie udaje się nam zaparkować w bocznej uliczce, przy jakiejś posesji. Nawet mamy pozwolenie właściciela, czyli spokojnie możemy sobie iść. Dzielimy się na grupki. Dziś zaczynam się płatać po mieście z Jarkiem. Wojtek z Renią i Gosią pędzą do nowoczesnej części miasta, żeby obejrzeć odmienną urbanistykę.

Kluczemy sobie z Jarkiem uliczkami, którymi chodzą tylko i wyłącznie sami Arabowie, turystów tu brak. Postanawiamy więc opuścić te miejsca i udać się znowu do starej medyny. Zahaczamy jeszcze o stoisko z ciastkami i kupujemy sobie pyszne, bardzo słodkie zawiniątko.

Po raz kolejny trafiamy na główny plac, kupujemy pocztówki. Zaczynam je wypisywać i siedząc na słupku nagle słyszę dochodzący mnie charakterystyczny głos trąbki. Tu gdzieś w pobliżu muszą być tańczące KOBRY!!! Szybko kończę pisanie i z Jarkiem pędzimy zobaczyć. Są!!! Niesamowita frajda. W dodatku jeden z takich zaklinaczy zakłada nam na szyję węża czy zmiję „na szczęście” i możemy się sfotografować. Po czym chce 100 dirham! Dostaje 10, a my się szybko ulatniamy. Po placu chodzą kolorowo ubrani sprzedawcy wody, pobrząkując miseczkami.

Znowu ruszamy w uliczki medyny, trafiamy na suk dywanów, później ubrań, butów, wyrobów skóranych, metalowych. Widzimy, jak farbuje się w kadziach kolorowe chusty (nawet dwie takie kupuję), włókna. Farbujący ma ręce po łokcie w farbie.

Trafiamy także do sklepu z arabskimi książkami, wszystkie w grubych okładkach ze złożonymi napisami. W końcu dochodzimy do suku z instrumentami muzycznymi, gdzie Jarek niechcący tłucze bębenek. Poza tym zaopatrujemy się w kasety z marokańską i berberyjską muzyką, która od tego momentu będzie królowała w naszym samochodzie podczas jazdy. Zwłaszcza tzw. „dysio Marocano”, które kupiła Renia.

Po tym wszystkim siadamy w kawiarence, aby napić się jeszcze nany. Znowu ruszamy pod meczet, gdzie jesteśmy umówieni z resztą naszej grupki. Schodzą się wszyscy i możemy ruszać do Kryški, jednak tę drogę powrotną przerywa nam jeden incydent. Waldek udziela pierwszej pomocy dziewczynie z atakiem padaczki. Robi się zbiegowisko ludzi, karetka pogotowia oczywiście nie przyjeżdża, ale na szczęście dziewczyna po pewnym czasie dochodzi do siebie i może iść.

Ciekawostką w Maroku są szyldy, jakie sobie zawieszają dentyści. Jest to po prostu namalowana... SZCZĘKA sążnistych rozmiarów. Praktycznie obrazek ten widać z pięciu kilometrów! Doszłam do wniosku, że taki szyld z pewnością mnie odstraszyłby skutecznie od skorzystania z usługi wyrwizęba.

Tak w ogóle to w Maroku na każdym kroku są gabinety stomatologiczne, tylko zastanawiam się, jak taki marokański gabinet dentystyczny wygląda, kto tam jest dentystą, czego używa. Czy tylko specjalizuje się w wyrwaniu, czy może robi coś więcej?

Wracamy do Kryški. Stoi „cała”, tam gdzie ją zostawiliśmy. Opuszczamy Marrakech i jedziemy do Imlil - wioski będącej bazą wypadową na najwyższy szczyt Maroka - Dżabel Toubkal. Docieramy w góry, zaczyna padać, droga, którą jedziemy, pozostawia wiele do życzenia, ledwie mieści się nasz samochód, a tu jeszcze coś zbliża się z przeciwka. W pewnym momencie musimy wysiąść i pchać, bo źle wjechaliśmy, a nie da się wycofać. Po prawej stronie mamy skały, a po lewej krawędź odgraniczającą pozostałość drogi od uedu. Na miejscu dowiadujemy się, że przed paroma laty była tu taka powódź, że wszystko zniszczyła i dlatego droga do wsi właśnie tak wygląda. Do wsi wjeżdżamy już o zmroku. W Maroku bardzo szybko zaczyna robić się ciemno, bo już o 20:00, a potem zaraz zapada egipska ciemność.

Znajdujemy się na wysokości 1740m npm. Wieś jest malutka, podobno tutaj kręcono film Martina Scorsese o Dalaj Lamie.

Leje, jest zimno i mglisto. Przydaje się nam pismo uzyskane w polskiej ambasadzie. Dostajemy zgodę na postawienie samochodu na małym parkingu w „centrum” wsi. Część z nas śpi w samochodzie, a część w małym hoteliku. Obok tego hoteliku jest sklep z chlebem oraz z... żywymi kurami w klatkach. Kiedy kupuje się kurę, sprzedający od razu może ją tam zabić. Nieważne, że ma w sklepie chleb i inne artykuły spożywcze.

Zaczynamy szykować kolację, ale jest to trudne, bo leje. Na drzwiach Kryški rozkładamy namiot, który ma być prowizorycznym dachem. W oddali niesie się głos muezina. Jest tym bardziej ciekawy, że niesie się wśród gór, potęgując nastrój. Sama czuję się tutaj jakbym była nie w Atlasie Wysokim, a w Himalajach!

Po kolacji ruszam do obskurnego hotelu, ale przynajmniej tu nie jest tak zimno i tak wilgotno. Trzeba się wyspać przed wejściem na szczyt, przecież dopiero jesteśmy na 1740m, a na wysokość 4167m jeszcze długa droga. Śpimy na łóżkach przypominających sienniki, mam tylko nadzieję, że żadnego robactwa w nich nie ma.

## **20.04.2001 ( piątek)**

Budzimy się rano wypoczęci, wychodzimy na schody naszego hoteliku i przed nami ukazuje się cudowny widok ośnieżonych i zalanych słońcem szczytów górskich. Idziemy do samochodu na śniadanie. Później z Agatą szukamy mapy z trasą na Toubkal, ale chcą za nią zbyt dużo pieniędzy, więc zadawałamy się zwykłą kserówką, którą sobie kupujemy. Biegając po wsi w poszukiwaniu mapy zostajemy zaczepione przez handlarza Berbera, który próbuje z nami dobić targu po tzw. „good price”. Tylko, że nie wiadomo ile to oznacza. Mówi nam, że dla nas będzie to specjalna cena, bo jesteśmy jego pierwszymi

klientkami dzisiejszego dnia. W końcu Agata kupuje flakonik na perfumy, a ja bransoletkę. Ciekawe na ile nas naciągnął.

W góry wychodzimy dość późno, bo dopiero koło 11.00. Samochód zostaje pod opieką starego gardiana. Możemy iść spokojnie, jak wrócimy samochód będzie cały.

Idzie się dość kiepsko, bo wszędzie pełno rumowiska skalnego, w dodatku upał robi swoje. Idziemy po dwie - trzy osoby, bo tak jest wygodniej. Mijamy po drodze wieś, która kolorem budynków upodobniona jest do koloru otaczających ją skał. Tutaj nie dojeżdża już żaden samochód. Wspinamy się coraz wyżej i wyżej. Po drodze zaczepiają nas dzieci, które chcą od nas cukierki, a najlepiej dirhama... Jarek się lituje i daje im pieniądze, co prowadzi do tego, że dzieci już nie chcą nas opuścić i przez pewien czas idą z nami prosząc o jeszcze trochę pieniędzy. Całe szczęście, że w końcu nas zostawiają w spokoju.

Na szlaku, który jest bardzo wąską ścieżką, można spotkać ciekawych ludzi. Gdy szliśmy z Agatą, spotkałyśmy dwóch Berbrów, których muły niosły malowane... drzwi!!! Nie mam pojęcia skąd, bo schodziły z gór! Co jakiś czas mijali nas inni amatorzy wspinaczek górskich - Amerykanie, Niemcy, którzy na wysokość 3 200 metrów dostawali się na mułach. Jeden muł wiozł takiego turystę, a drugi jego bagaż! Turysty od siedmiu boleści! Po drodze mijałyśmy również coś w rodzaju stoisk, można było na nich kupić minerały oraz coś do picia - nieśmiertelną coca - colę albo baton Marsa.

Dłuższy postój zrobiliśmy sobie na wysokości około 2 500m n.p.m., w małej wsi, gdzie oczywiście możliwe było kupno wszystkiego, począwszy od dywaników, a skończywszy na coca - coli chłodzącej się w wiadrze wodą prosto z górskiego potoku.

Po siedmiu godzinach marszu w górę docieramy po kolei do schroniska na wysokości 3 207m n.p.m. Robi się chłodno, więc najpierw trafiamy do schroniska i wypijamy obowiązkowo miętową herbatę. Musimy się jednak zabierać, bo podobno prawo przebywania w schronisku mają tylko ci, którzy wcześniej zarezerwowali sobie tam nocleg, a reszta nie ma prawa wstępu! Co za bezsens, coś takiego w Polsce nie miałoby miejsca. Zaczynamy więc rozbijać nasze namioty. Szybko zapada ciemność, ciśnienie spadło do 686hPa, a temperatura do 2 stopni Celsjusza. Brrrr zimno.

Już w egipskich ciemnościach robimy sobie kolację, a potem ubieramy, co kto tylko ma i wskakujemy do namiotów. Zajmuję namiot razem z Agatą i Wojtkiem. Drugi - Jarek i Hanka. Najciekawszy jest trzeci, bo ten postanowiły zająć aż cztery osoby - Gosia, Renia, Waldek i Konrad. Jak oni się tam pomieścili to nie mam pojęcia, ale było im chyba ciasno. Ubieram się na cebulę! Kilka warstw ubrań i nawet śpię w czapce! W nocy budzę się, bo zimno mi w stopy, to nic, że mam cztery pary skarpet, śpiwór i koc. Jest przejmujący chłód. Po raz pierwszy rozumiem, co to znaczy prawdziwe zimno. Toaleta oczywiście pod chmurką, świetnie! Tyłek człowiekowi zaraz przymarza! Temperatura spadła poniżej zera. Tak na marginesie muszę zaznaczyć, że część osób ma jakieś problemy z żołądkiem. Czyżby zaszkoziła fasolka? Najbardziej cierpi Agata...

## **21.04.2001 (sobota)**

Trzeba wstawać, choć ciężko to zrobić, taki ziąb panuje na zewnątrz. W końcu wysypujemy się z namiotów. Nocą spadł śnieg przysypując nas. Jemy śniadanie, Wojtek mówi, że w nocy musiał wyjść z namiotu i twierdzi, iż w życiu nie widział tak wielkich gwiazd na niebie.

Z wejścia na Toubkal rezygnują Gosia z Konradem. Pozostała siódemka będzie dalej zmagać się z górami. Zostawiamy nasze obozowisko, zabieramy najpotrzebniejsze rzeczy i ruszamy w górę. Znowu idzie się nieszczególnie, kamieni jeszcze więcej, w dodatku cały

czas ostro pod górę. Trzeba szukać „ścieżki”, bo jej tu praktycznie nie widać. Szlak wyznaczają tylko małe kopczyki kamieni. Trzeba się kierować nimi, choć i tak, co chwilę gubi się je w natłoku rumowiska skalnego. Na wysokości 3 600m nrm z dalszego wejścia rezygnuje Renia i wraca na dół. Chyba zaczynają się pojawiać pierwsze objawy choroby wysokogórskiej. Teraz praktycznie każdy idzie sam.

Im wyżej jestem, tym jest mi trudniej, ale skoro wlażłam tutaj, to nie mogę się cofnąć. Do szczytu już tak niewiele. Teoretycznie..., a w praktyce jeszcze kilka godzin. Jest tak źle, że gadam do mijanych kamieni. Tak ciężko podnieść mi nogę. W dodatku drażni mnie opaska elastyczna, która dodatkowo wpija mi się pod kolanem, utrudniając wchodzenie. Jak tylko wejdę na szczyt ściągnę ją! Wchodzę dalej, Agata gdzieś dużo niżej, męczy się dalej biedaczka, ale na szczęście idzie do góry. Coś nie chcą ją opuścić problemy żołądkowe.

Kiedy patrzę i widzę, że chłopcy są wysoko w górze, to myślę, iż też musi mi się udać. Nieźle radzi sobie Hanka, dotrzymując im dzielnie kroku! Tylko, że oni już prawie u szczytu... Nic, dam radę i wejdę. Zbieram siły krótką chwilę odpoczywając na kamieniu, czekam, jak dojdzie Agata. Zjadamy trochę rodzynek i ruszam dalej, Agata jeszcze zostaje. Nareszcie docieram do szczytu!!! O do licha, to jeszcze nie szczyt, to tylko grań, którą trzeba pokonać, żeby go zdobyć. Z bezsilności zaczynam kląć, w dodatku w dali widzę, że część ludzi z naszej grupki już tam jest, a ja jeszcze muszę leżeć. Co za pech! W życiu nie klęłam tak na głos, ale nic innego mi nie pozostało. Całe szczęście, że niżej tego nie widziałam, bo nie wiem, jakbym się doczłapała na szczyt. W końcu po ponad pięciu godzinach udaje mi się. Jestem na tym durnym Toubkalu, na wysokości 4 167m nrm!!!!!!! Trud wspinaczki rekompensują cudowne widoki, jesteśmy powyżej chmur. Wokół rozpościerają się pasma górskie Atlasu Wysokiego. Dochodzi również Agata. Każdy zaczyna odczuwać ból głowy, to skutek ciśnienia, które tutaj jest gdzieś poniżej 500hPa. Nie wiemy ile dokładnie, bo ciśnieniomierz wskazuje ciśnienie od 500hPa, niżej nie ma już skali...

Dzwonię do domu, odbiera moja mama i pyta gdzie jestem, bo tak dobrze mnie słyszała. Mówię, że na najwyższym szczycie w Maroku, na co mama każe mi natychmiast stamtąd zejść! Tak natychmiast, to raczej nie jest możliwe. Fajnie jest tak zadzwonić z Toubkala do domu, a ja się śmiałam z tych, co dzwonili do swoich domów z Rysów..., a sama to zrobiłam.

Robimy zdjęcia na szczycie uwieczniając też naszą flagę uniwersytecką. Jeszcze parę chwil i czeka nas droga powrotna w dół. Pozbywam się opaski elastycznej z kolana. Zaczynamy schodzić. Makabra. Idzie mi się fatalnie po tym gruzie. Muszę uważać, żeby mi noga się nie obsunęła, bo inaczej to marny los mojego kolana. Po trzech godzinach razem z Agatą dochodzimy do naszego obozu przy schronisku. Jesteśmy wykończeni, a głowy mało nam nie pękają! Agata, ja i Waldek zostajemy na kolejną noc tutaj, a pozostali schodzą do Imlil, jak się okazało później doszli pociemku w dodatku trochę błędząc po okolicy, ale docierają do naszej Kryski. My w tym czasie zjadamy zupki i ładujemy się w śpiwory, mimo tego, że jest dopiero koło 17:00, ale jesteśmy zmęczeni, chce nam się spać. Jednak nie możemy zasnąć, bo jesteśmy zmuszone z Agatą do wysłuchiwanie monologu prowadzonego przez Waldka. Akurat miał ochotę na snucie przez dwie godziny różnych opowieści ze swojego życia. Nie zrażało go nawet to, iż prawie wcale się nie odzywałyśmy, tylko mu przytakiwałyśmy. Całe szczęście, że ostatecznie poszedł spać. I tak większość historyjek już dawno słyszałyśmy.

Jak miło iść spać po takim wysiłku - zdobyciu szczytu. Przestaję w końcu odczuwać tępy ból głowy, trawiący mnie przez siedem godzin. Całe szczęście, że dzisiaj nie jest tak zimno w nocy, a może jestem tak zmęczona, iż nawet nie czuję tego, tylko śpię.

**22.04.2001 ( niedziela)**

Rano wstajemy i po szybkim śniadaniu możemy ruszać z powrotem do Imlil. Waldek wystartował niczym rakieta i tyle go było widać. Za to Agata i ja szliśmy powoli, nie śpiesząc się. Miałyśmy czas na robienie górów zdjęć i dyskusowanie na temat istnienia w przeszłości lodowców górskich w Atlasie Wysokim.

Znowu dochodzimy do małej wioski, gdzieś na 2 500m npm, gdzie postanawiamy poczynić pewne zakupy, które trwają dłużej, bo handlarz, chce nam jak najwięcej sprzedać. Poza tym, zaproponował mi... abym została jego żoną i zamieszkała z nim w tej wsi, bo tu mężczyźni cierpią z powodu braku kobiet. Jeszcze czego! Propozycję oczywiście, ku jego rozczarowaniu, odrzuciłam.

Agata kupuje czajniczek, ja wymieniam saszetkę z napisem „Podróże” na mały dywanik. Jacyś Polacy zapewne się zdziwią, jak zobaczą u tego Berbera coś takiego na szyi. Kupujemy też z Agatą minerały i nawet kilka dostajemy w prezencie od handlarza. Czyżby zrobił aż tak dobry interes? Waldek zresztą też handluje. Nawet pokazuje Berbercyce krem do rąk. Bardzo się jej to podoba. Ruszamy dalej. Waldek znowu gdzieś tam z przodu. Będąc już niedaleko Imlil Agata spotyka swoich znajomych z Gdańska, przygotowujących się w Maroku do wyprawy w Andy. Takie miłe spotkanie na szlaku. Proszę, jaki świat jest malutki.

Nareszcie zlażłam!!! A co porabia reszta grupy? Pozostali są w trakcie handlu wymiennego z Berberami. Berberowie, to tubylcza ludność, która w zamierzchłych czasach była wyjątkowo trudnym do podbicia ludem. W momencie zagrożenia wycofywała się do kryjówek na niegościnniej Saharze i w górach Atlas, gdzie nie mogli jej dopaść najeźdźcy. Mimo tego, że kraj został zdominowany przez Arabów, lud ten zdołał zachować swoją odrębność kulturową, przejawiającą się posługiwaniem się dialektem berberyjskim, silną tradycją berberyjskiego rzemiosła oraz charakterystycznym stylem muzyki i odmiennymi obyczajami.

Dochodzę do Kryški i chwytam pierwszą z brzegu butelkę wody, strasznie chce mi się pić. Biorę duży łyk i... w tym momencie czuję ogień w gardle!!!! Zaczynam się dusić, z oczu lecą mi łzy, nic nie mogę powiedzieć, tylko macham rękoma i butelką. Matko droga, co to jest?!? Wszyscy przyglądają się mi się ze zdziwieniem, ale w końcu zaskakują, co też ja takiego wypilałam. Jak się okazało, mało nie wypalił mi gardła berberyjski bimber, który został zakupiony w Ozoud, a następnie wrzucony do samochodu!

Jeszcze mała kąpiel, coś do jedzenia i mogę być zadowolona. W dodatku na obiad jemy... placki ziemniaczane!!!! Takie z proszku, ale nam mimo wszystko i tak smakują.

Na koniec jeszcze podziękowania Gardianowi za pilnowanie samochodu, zrobienie pamiątkowego zdjęcia i ruszmy dalej na południe w kierunku pustyni. Po raz drugi pokonujemy prawie nieistniejącą drogę z Imlil. Tym razem jest znacznie lepiej, bo jest ciepło i nie pada, no i nie trzeba pchać Kryški na zakręcie.

Teraz nasza droga wiedzie do Warzazat. Po drodze zabieramy autostopowicza, starego Berbera i podwozimy go parę kilometrów. Milczy... i rzuca śmieci na podłogę naszej Kryški...

I po raz kolejny jesteśmy w Marrakechu, ale tylko przez niego przejeżdżamy i to w dodatku dzielnicami kwiecistych alei oraz bogato wyglądających domów.

Jakieś 40km za Marrakechem zaczynamy mieć problemy z Kryšką. Kopci z rury, tak jakbyśmy się palili. Co jest u licha? Z dnia na dzień było gorzej, ale dzisiaj to już katastrofa. Nawet pod małą górkę nie może podjechać. Jeszcze trochę, a w ogóle stanie na drodze i nie ruszy ani centymetra dalej. Postanawiamy zawrócić do najbliższej stacji benzynowej i tak trafiamy do marokańskiej wsi, gdzie przy drodze są aż trzy warsztaty samochodowe. Oczywiście wątpliwej jakości..., no ale nie pozostaje nam nic innego w takim momencie, kiedy samochód i tak dalej nigdzie nie pojedzie, a w dodatku robi się ciemno. Zostajemy, zlatują się tubylcy. Wojtek coś tam tłumaczy po francusku. W końcu po długich oględzinach tego, co znajduje się pod maską, jeden z Marokańczyków wsiada z nami

do samochodu i... jedziemy na przejażdżkę, a on wsłuchuje się w odgłosy wydawane przez Kryskę. Ostatecznie wracamy pod warsztat i zaczyna się ogólne rozkręcanie naszego autka. Majstrowie rozkręcali, a nasi koledzy zaglądali im przez ramię, co też oni tam robią... Sami zielonego pojęcia nie mieli. Za to my siedząc w samochodzie zaczęliśmy układać piosenkę o... naszej wyprawie. Główną autorką była Renia, której nawet wtedy nie opuszczał dobry humor. Taka osoba na wyprawie to skarb. W każdym razie, jak to głosiły słowa piosenki: „Jesteśmy na wczasach, dym z rury wali, opalamy się...” To właśnie było coś w tym rodzaju. Okazuje się jednak, że znaleziono usterkę. Coś tam pękło, więc zrobili coś z drutów na imadle i wszystko miało trzymać się całości. No i się trzymało! Największe obawy, co do samochodu wykazywał Waldek i po raz setny tam zaglądał, aż udało mu się znaleźć jakąś wolną śrubkę, która była pierwotnie gdzieś przykręcona! Zawołał Marokańczyka, a ten tylko wzruszył ramionami i coś tam pogrzebał pod maską, ale czy przykręcił, to raczej wątpię.

W tym czasie pojawił się właściciel warsztatu i zaproponował nam nocleg w pomieszczeniach nad zakładem. Poszliśmy obejrzeć. Ostatecznie z noclegu skorzystali Renia, Gosia, Waldek i Wojtek. Warunki niczym z pięciogwiazdkowego hotelu!!! Sam beton, nawet sufitu nie było!!!! A wszędzie panoszyły się jakieś podejrzane odchody!!! Wolałam nocleg w mojej kochanej Kryśce! Tym bardziej, że przy wejściu siedziały jakieś podejrzane typy spod ciemnej gwiazdy. Chyba tam nocowały. W każdym razie zostaliśmy poczęstowani jedzeniem na dużym półmisku, na którym był sos z mięsem. Przynieśli nam świeżo upieczony, jeszcze ciepły chleb oraz herbatę miętową. Smakowało nam to jak nigdy, w dodatku wszyscy jedli z jednego półmiska, bez sztućców. Bardzo wygodne! A ileż mniej do zmywania. W sam raz dla mnie!

Jutro musimy znaleźć serwis samochodowy, żeby nam wymieniono tą pękniętą część. A teraz trzeba pędzić spać. Oczywiście Wojtek zaginął gdzieś w czeluściach czegoś, co chyba miało być miejscem spotkań tutejszych Marokańczyków. Jeszcze tylko zapłaciliśmy za naprawę, choć nie chciano od nas żadnych pieniędzy. Agata dała im też jedną ze swoich latarek.

Co do latarek, to mieliśmy ich sporo na tej wyprawie. Pamiętaliśmy też o dużej ilości baterii, ale zapomnieliśmy o... zapasowych żarówkach! W dodatku szybko się przepalały, bo Agata miała specjalne baterie, które stosuje się w latarkach na tankowcach. No i żarówki innych latarek tego nie wytrzymały. Dlatego z dnia na dzień stawaliśmy się o nie coraz bardziej ubożsi.

To była taka mała dygresja, a teraz wracajmy do warsztatu, pod którym spędzaliśmy noc. Część z nas, która znalazła w „hotelu”, dostała od właściciela maty do spania. Zabrała je i poszła na górę spać pod chmurką. Ciekawe, jakie będą mieli jutro wrażenia. Jakby ktoś w nocy krzyczał, to będzie znaczyło, że jakiś szczur po nich łązi, hi, hi i podjada ich...

Grunt, że Kryśka przestała kopcić i jutro możemy jechać dalej...

### **23.04.2001 ( poniedziałek)**

Budzę się koło szóstej rano w Kryśce przy warsztacie. W zasadzie mogłabym spać dalej, ale się nie da. Dziś są moje urodziny! Nie wpadłabym nigdy na to, że w dzień urodzin mogę być w warsztacie samochodowym, w bliżej nieokreślonym miejscu w Maroku! To będą jedne z moich najbardziej niezapomnianych urodzin.

Gdzieś obok słychać ryczące bydło, które nie pozwala nam dalej spać. Co tym razem? Sprawdzamy, co się dzieje obok..., a tam na wielkim placu po drugiej stronie ulicy w najlepsze od wczesnych godzin porannych trwa bazar - głównie handel bydłem, choć nie tylko. Ludkowie w swoich dżelabach z kapturkami kupują i sprzedają krowy i cielaki. Przy



okazji można zobaczyć, jak to się odbywa. Oczywiście przy wielu okrzykach, które zlewają się w wielki harmider. Poza tym sprzedaż odbywa się nie tylko przy wrzaskach obu stron, ale i przy wzajemnym szarpaniu się za dżelaby. Można tu kupić to i owo, nawet do jedzenia, ale wygląda to mało apetycznie, gdyż można zobaczyć, jak to się robi, a potem takie jedzenie ładuje np. w obtłuczonej misce, wątpliwej czystości i czeka na potencjalnego kupca, którym ja na pewno nie będę.

Sprawdzam, jak tam wrażenia tych, co spali w „pięciogwiazdkowym hotelu”. Nie narzekają, zwłaszcza, że jak twierdzą, mieli piękne widoki na rozgwieżdżone nocą niebo. Szczurów w każdym razie nie było.

Zaczynamy się w końcu zbierać, bo czas goni, a my musimy jeszcze znaleźć serwis samochodowy Mercedesa, żeby wymienić tą pękniętą część. Tak, więc po raz trzeci (!!!) ruszamy w stronę Marrakechu! Znowu trafiamy na ulicę, którą zaczynamy znać na pamięć. Szukamy serwisu, jest ich sporo, ale... nie Mercedesa. Odwiedzamy kilka innych, ale nie dysponują taką częścią. Najbliższy serwis Mercedesa znajduje się w Casablance, raptem jakieś 250km stąd... Dziwne, bo większość samochodów w Maroku to właśnie różne typy Mercedesa! W końcu zostajemy odesłani w miejsce, gdzie można kupić różne części samochodowe. Jednak i tam okazuje się, że w magazynie nie ma tego, czego my szukamy, ale mechanik zagląda pod maskę naszej Kryski i stwierdza, że samochód po tej „naprawie” może jechać. Daje nam jeszcze parę rad i gwarantuje, że prowizoryczne druty będą trzymały. Fakt, Kryśka dziś ani razu nie zakopciła. No i już wiem, dlaczego nie ma serwisów Mercedesa. Mają świetnych mechaników samochodowych, którzy nawet w zapadłej dziurze potrafią postawić samochód na koła.

Szczęśliwi, choć nie bez obaw, jedziemy znowu na południe, na pustynię. Po raz nie wiem który jedziemy tą samą drogą. Aż w końcu musieliśmy wzbudzić podejrzenie policji stojącej na drodze, bo nas zatrzymuje. Wojtek tłumaczy, co się stało i pozwalają nam odjechać.

Humory nam dopisują, dysio leci w autku, a przy drodze zaczynają się pojawiać stragany z wielką ilością minerałów. Handlarze stoją przy drodze trzymając w dłoniach co piękniejsze okazy, mające skusić potencjalnego kupca do zatrzymania się. A rzeczywiście działają i na nas. Zwłaszcza druzy, z zielonymi minerałami, które pięknie błyszczą w promieniach słońca. Dlatego też i my postanawiamy zatrzymać się przy jednym z takich przydrożnych straganów. Tutaj swojego pierwszego zakupu dokonuje Hania i Waldek. Po licznych targach wzbogacają się właśnie o coś takiego zielonego. Obiecuję sobie, że sprawię sobie coś takiego samego na następnym przystanku. A teraz razem z Renią zbieram kawałki minerałów z ziemi w pobliżu straganu, nawet fajne rzeczy można tam znaleźć.

Robimy się w końcu głodni, trzeba się więc zatrzymać w jakimś miejscu na obiad. Wybieramy sobie spokojne miejsce, wśród drzew przy drodze. Zabieramy się za obiad. Tak się rozbrykaliśmy, że nie starcza nam jedno danie. Zjadamy zupkę Opychę (wszyscy jak zwykle chcą słodko - kwaśną) i drugie danko... soję z fasolką. Obiad się gotuje, a w tym czasie jak spod ziemi pojawiają się dwaj handlarze z koszami minerałów oraz gromada dzieci. Przystępuję oczywiście do handlu i po chwili jestem szczęśliwą posiadaczką zielonego minerału. Potem ruszam w okoliczne pagórki, gdzie znajduję sporo agatów. Waldek w tym czasie dokonuje kolejnych cudownych zakupów, głównie wymiennych (pozbywa się m.in. okularów słonecznych i... małej buteleczki alkoholu), ale dzięki temu wzbogaca się o kolejne dwa minerały - fioletowy oraz stalowszare jajo.

Obiad zjadamy w towarzystwie gromady dzieci, z którymi potem Renia i ja zaczynamy się bawić, robić jakieś kółeczka i śpiewać. W końcu Waldek z Renią zaczynają śpiewać: szła dziewczeczka do laseczka. A dzieciaki po małym kawałku próbują nas naśladować. Świetnie im to wychodzi, lecz najlepiej śpiewają: włazł kotek na płotek. Przed odjazdem dajemy im morelki. Oczywiście nie chcą nas puścić.

Jedziemy serpentynami coraz wyżej i wyżej, postanawiamy zatrzymać się, aby zobaczyć z góry, jak wije się droga. Jesteśmy na przełęczy Tizi n'Tiszka 2 260m npm. Stajemy znowu w pobliżu straganu z minerałami. Każdy, jak zwykle rusza gdzieś w swoją stronę. Tuż przed odjazdem wyłania się Renia, która śmieje się do łez i nie jest w stanie powiedzieć, co się jej stało. Pokazuje nam kawałek stalowoszarego jaja, podobnego do tego, które kupił Waldek. Tyle, że jest to kawałek... betonu. Minerały są prawdziwe tylko przyklejane do drewnianych patyczków wystających ze ścianek jajka w jego wnętrzu. Wsiadamy i śmiejemy się do rozpuku. Ktoś mówi, że np. jakiś Niemiec kupi sobie coś takiego, postawi na szafie, a po 20 latach mu to spadnie na podłogę i okaże się, iż jest to beton! Humor nam dopisuje, tylko Waldkowi chyba nie za bardzo. Nagle ktoś rzucił w samochodzie, że wszystkie minerały to jedna wielka ściema i może te kolorowe też są nieprawdziwe. Wyciągam, więc swoje zielone чудо, pocieram i... okazuje się, że zielonkawy kolor schodzi!!! Co za pech! Ale daliśmy się zrobić w balona. Nie ma też końca śmiechów i drwin z tych, co kupili oszukane minerały. Najbardziej z Waldka, który ma ich, aż trzy! Trudno, mnie mimo wszystko i tak się podobają. Renia, jak widzę, nie może wytrzymać z radości. Przez cały dzień, jak sobie o tym przypomniawszy, pękała ze śmiechu. A najlepsze z tego wszystkiego jest to, że siedmiu geografów można zrobić na szaro, albo jeszcze tak mało wiemy, iż daliśmy się tak wystrychnąć. Jedno jest pewne teraz już wiemy, czego mamy się wystrzeżać. Arabowie, jak widać umieją zrobić interes na wszystkim. A ja, gdy kiedyś jeszcze kupować będę minerały o podejrzanym kolorze zacznę od ich... polizania.

Po drodze mijamy bocianie gniazda ulokowane między innymi na minarecie meczetu. Wydaje mi się, że jest tu więcej bocianów niż w Polsce. Czyżby tutaj przeczekiwały naszą zimę?

Tak więc w dobrych humorach jechaliśmy w kierunku pustyni, docierając po drodze do miejscowości Ait Benhadou. O to wcześniej kłóciliśmy się, bo większość nie chciała tam jechać, choć trzeba było zjechać z trasy tylko 10km. Ta krótka, choć dość ostra wymiana słów doprowadziła do tego, że jednak tam pojechaliśmy, a moim zdaniem było warto. Jeśli chodzi o te ostre wymiany słów, to na tej wyprawie ich nie brakowało. Owszem mogłoby być ich mniej, bo najczęściej dotyczyły one jednej osoby - chadzającego swoimi drogami biologa. Nie byłabym sobą, jakbym o tym nie wspomniawszy, ale treść owych zatargów pominę, żeby nie psuć czytającemu cudownych wrażeń dotyczących naszych przeżyć i samego kraju. A tak naprawdę większych konfliktów na szczęście nie było... Zapewne jeszcze coś na ten temat gdzieś napiszę, bo wątpię, że wytrzymamy w takim stanie do końca wyprawy.

Wracając do tej osady Ait Benhadou, muszę zaznaczyć, że jest to miejscowość, w której powstało wiele hollywoodzkich filmów, jak np. „Jezus z Nazaretu”. Warto ją obejrzeć, choćby dlatego, że wszystkie kazby (domy), są w bardzo dobrym stanie. Właśnie dla potrzeb filmów. Ait Benhadou to ksar czyli wioska obronna. Główna część budowli składa się z kwadratowego lub prostokątnego muru z czterema narożnymi kwadratowymi wieżami. Najslabszym punktem tych imponujących, zabarwionych na czerwono budowli jest ich nietrwałość. Są one nieodporne na działanie wilgoci i jako takie mogą przetrwać tylko w suchym klimacie. Padający deszcz rozpuszcza materiał budulcowy tak, że po około pięćdziesięciu latach po kazbie może zostać sterta błota i żwiru. Takie widoki w południowym Maroku spotykaliśmy bardzo często.

Zacząło już robić się późno, więc trzeba było ruszać na jakiś camping. Tak więc docieramy do Warzazat, robimy zakupy. Ja dodatkowo kupuję jakieś wino marokańskie, bo to jak nie patrzeć dzień moich urodzin. Nad miastem góruje kazba Taourirt. Docieramy na camping położony tym razem w mieście i w dodatku całkiem przyzwoity i jak na marokańskie warunki, dobrze wyposażony. Wszędzie rosną ogromne palmy. Po takim dniu pełnym wrażeń przyda nam się wieczorny odpoczynek przy kolacji i winie...

## 24.04.2001 (wtorek)

Dzisiejszy dzień został mianowany kondycyjnym, czyli po prostu róbta, co chceta. Każdy mógł zniknąć w siną dal i robić, co mu się żywnie podoba. I tak też było... Waldek z Konradem bardzo wcześnie rano poszli gdzieś w teren, by oglądać kolejne ptaki i inne cuda. Waldek chyba minął się z powołaniem. Zamiast na geografę powinien był pójść na ornitologię...

Reszta spała o wiele dłużej, a swój czas spędzała oglądając miasto.

Dzień zaczęliśmy obfitym śniadaniem, jedząc marokański chleb z jajecznicą składającą się z trzech jaj, pomidorów i oliwek. Wszystko to stanowiło coś w rodzaju wielkiego hamburgera, a może jajburgera...

Po śniadaniu ruszyliśmy do miasta. Każdy w swoją stronę. Np. Renia z Gosią siedziały w jakimś sklepiku, gdzie zostały wciągnięte przez sprzedawcę. Pokazywał im swoje towary i opowiadał o sobie, swojej rodzinie.

Wraz z Agatą ruszyliśmy na poszukiwania czegoś takiego, co nazywa się... kawiarenką internetową. No i oczywiście znalazłyśmy. Kto by pomyślał, że tu prawie na końcu świata działa Internet i to całkiem sprawnie. Można było wysyłać nawet smsy do Polski. Mnie udało się wejść na mój ulubiony chat Wirtualnej Polski i... pogadać ze swoimi internetowymi znajomymi.

Gdy wracałyśmy już na camping, zostałyśmy zaczepione przez dwóch czadowych gości. Tak, tak dokładnie czadowych, bo z... Czadu. Czarni, niczym smoła. Prawdziwi Murzyni. No i nie chcieli się od nas odczepić! Okazało się, że są studentami turystyki. Razem trafiliśmy na bazar, gdzie z Agatą kupowałyśmy melony. W pewnej chwili, Marokańczycy zaczęli coś nerwowo wykrzykiwać, a ku naszemu zdziwieniu przez rynek przeszło coś podobnego do trąby powietrznej. Wszystko zaczęło fruwać, latać, - pył, piasek oraz liście warzyw i owoców. Nawet parasole, pod którymi mieli swoje „sklepy” handlarze, pofrunęły, tak jakby miały wagę piórka. A im bliżej była ta trąba, tym bardziej Marokańczycy krzyczeli. Nie wiem, może myślą, że to złe duchy i tak je odpędzają? W każdym razie tak szybko, jak się to zjawisko pojawiło, równie szybko minęło. A cały bazar wrócił znowu do dalszego handlowania towarami, tak jakby nic się nie stało.

Po tym incydencie zaczęliśmy wracać na camping wraz z naszymi nowymi kolegami. Cały czas próbowaliśmy się ich pozbyć, bo oni koniecznie chcieli nas odprowadzić na miejsce. W końcu udało się nam ich pożegnać, wymieniliśmy się jeszcze tylko adresami mailowymi.

Kiedy wróciliśmy wszyscy na camping, okazało się, że również tu przechodziła trąba powietrzna. Udało się jej nawet wyrwać jeden z naszych namiotów, który również sobie pofrunął. Uratował go nam nasz sąsiad Francuz, który podobno go złapał. Zresztą większość z nas miała dziś spotkanie z owym zjawiskiem. Widocznie często muszą te zawirowania piachu tędy przechodzić. Zaczyna się robić prawdziwie pustynna atmosfera.

Po południu ruszyliśmy w dalszą drogę, zaczęło się robić ciemno, więc postanowiliśmy rozbić się na pustyni kamienistej opodal wysychającego zbiornika wodnego. To nasze najdalsze miejsce na południe. Odczytujemy jego współrzędne geograficzne za pomocą GPS - u, wynoszą one: 30<sup>0</sup>57'39" szerokości geograficznej północnej i 06<sup>0</sup>45'03" długości geograficznej zachodniej.

Każdy oczywiście rusza na zwiad terenu, znajdujemy m.in. miejsce odsłonięte przez wysychające jezioro, w którym leżą rozbite części glinianych naczyń. Dalej Waldek z Konradem znajdują ludzką czaszkę...

W tym miejscu mam bardzo dobry zasięg telefonu, bo niedaleko stoi wieża przekaźnikowa, tak więc mogę odebrać telefon z domu, bo chcą mi złożyć życzenia urodzinowe. Wczoraj im się nie udało, bo moja komórka nie miała zasięgu.

Wieczorem, już po zachodzie słońca, część z nas bierze udział w... polowaniu na skorpiony. Najlepszym poszukiwaczem skorpionów jest Gosia, która odsuwając kamienie zawsze znajduje jakiś okaz.

W ciemnościach, co chwilę pojawiają się światełka latarek, widać, gdzie kto jest. W pewnej chwili do samochodu wpadają chłopaki po słoik ze spirytusem, żeby utopić w nim schwytane skorpiony. Przy okazji wpuszczają do samochodu armię komarów, zwabionych światełkiem. Zaczęłam je wybijać. Jeden z komarów, siedzący na światełku, został przeze mnie trzepnięty tak, że on stracił życie, a my straciliśmy żarówkę, w wyniku czego tył samochodu do końca wyprawy był pozbawiony światła. Po pewnym czasie myśliwi skorpionów wrócili zadowoleni z owocnego polowania.

### **25.04.2001 (środa)**

Pobudka na pustyni. Waldek, Konrad i Wojtek już od samego świtu robią nam pobudkę, bo idą w teren, a przed wyjściem muszą coś zjeść. Otwierają więc samochód, w którym część z nas śpi i tłuką się po garach. Wojtek nigdzie nie wyjdzie bez obowiązkowej porannej kawy, zresztą tak rozpoczyna i kończy każdy dzień. Czyżby dzień bez kawy, był dniem straconym?

W końcu wszyscy wstają i jedziemy w stronę przełomu rzeki Todry. Został sam przełom, a rzeka, jak to rzeka w tym klimacie, po prostu wyschła. Zanim jednak dojeżdżamy do Todry, robimy jeszcze przystanek w dolinie Dades przy skałkach. Dowiadujemy się, że miejscowi ze względu na różnorodne kształty skał nazywają to miejsce „palcami małpy”. Jakby się tak przyjrzeć, to rzeczywiście mają rację.

Jak to zwykle bywa część z nas nigdzie się nie rusza i zostaje przy samochodzie, a inni penetrują nowy teren. Z Waldkiem schodzę ze stromej skały do oazy, gdzie trafiamy na grupkę dzieciaków, które od razu chcą robić nam za przewodników.

Oaza jest rajem w porównaniu z otaczającymi ją skałami, tutaj u ich podnóża, każdy nawet mały skrawek ziemi wykorzystany jest pod uprawę jakiejś rośliny, zboża. Nic nie może się zmarnować, bo wokół rozpościerają się obszary skaliste i kamieniste.

Środkiem oazy płynie rzeczka, przez którą przechodzimy, aby udać się do labiryntu ścieżek pomiędzy skalnymi ścianami. Na początku droga jest łatwa, szerokie miejsca pomiędzy dwoma ścianami, jednak później staje się coraz bardziej wąsko. Widać, że jednak w ten niedostępny obszar przychodzą jakieś zwierzęta, bo można tu znaleźć ich odchody. Prawdopodobnie są to kozy, które pędzi „na skróty” jakiś miejscowy pasterz. W końcu robi się tak wąsko, że muszę ściągnąć mały placaczek, bo nie mieszczę się pomiędzy dwoma ścianami. Teraz trzeba się przeciskać. Ostatecznie jednak dochodzimy do miejsca, w którym ścieżka wśród skał kończy się i dalej trzeba wspinać się do góry po skalnych blokach. Wchodzimy więc, ale tam rezygnujemy, w dodatku trzeba wracać, bo za godzinę wszyscy mieli być z powrotem przy samochodzie, a i tak się spóźnimy. Znowu czeka nas ta sama droga i przeciskanie się pomiędzy skałami. Jednak warto było tutaj przyjść. Czasami miało się wrażenie, że jakaś skała zaraz spadnie, bo była tak fantazyjnie uformowana przez erozję i „trzymała” się z resztą skały w taki sposób, iż przeczyła prawom grawitacji.

Opuszczamy dolinę, aby dalej kierować się do Todry. Przejeżdżamy przez obszar różany, gdzie rośnie ogromna ilość krzewów róży, z których robi się cudownie pachnącą wodę różaną. Przy drodze stoją dzieci sprzedające turystom płatki róż nawleczone na sznureczki.

Dalej mijamy kolejny ued, czyli koryto rzeki, płynącej nim tylko w okresie pory deszczowej. Możemy zobaczyć, że uedy wykorzystane są jako „drogi”, choć to nie jest ich jedyne wykorzystanie. Widzieliśmy przecież, że Marokańczycy umieszczają tam bazary.

Na naszej drodze suchych koryt coraz więcej, co jest oznaką, że jesteśmy w głębi ładu, gdzie klimat jest inny, bardziej suchy.

W okolicach jednego uedu, napotykamy na „namiot”, w którym mieszkają ludzie, jacyś koczownicy, którzy przemieszczają się z miejsca na miejsce, zabierając ze sobą cały swój dobytek. Niewiele zresztą mają, a na nasz widok chowają się. Na pobliskim zboczu spostrzegamy jeszcze stadko kóz i czarnych wielbłądów. Po raz pierwszy widzę czarne wielbłądy, prawdopodobnie należą do tych koczowników.

Jesteśmy już prawie u celu, mijamy jeszcze miejscowość Tinerhir otoczoną oazą, w której królują ogromne palmy. Wszędzie palmy, kojarzy mi się to z dżunglą. Dojeżdżamy do przełomu Todry. Trzeba zapłacić, żeby przejechać dalej. Widok jest imponujący - pionowe skalne ściany o wysokości ponad 300 metrów, a szerokość w najwęższym miejscu ma tylko 10 metrów. Człowiek przy nich czuje się malutki, zwłaszcza ta ich stromość potęguje to wrażenie. Na jednej ze ścian dostrzegamy wspinających się ludzi, wyglądają jak muchy na ścianie bloku.

Dojeżdżamy do końca ścieżki i na parkingu zostawiamy samochód. Dalej musimy iść pieszo. Przez cały czas przemieszczamy się wśród stromych, skalistych ścian. Wydaje się to niemożliwe, ale tę dolinę wyrzeźbiła rzeka. Ile potrzebowała na to czasu? Tysiąc czy może milion lat? Ile? Ileż to czasu musiało upłynąć, żeby powstały 300 – metrowe ściany? Sama chciałabym to wiedzieć. Teraz pozostaje nam podziwiać ten cud natury.

Tutaj znowu dominują dwa kolory: specyficzna czerwień skał i zielonych liści palm. Te drzewa są naprawdę niesamowicie wytrzymałe na panujące tutaj warunki, brak wody, skaliste podłoże.

Idę tak sobie pośród tego wszystkiego i wpadam w szal robienia zdjęć, bo wydaje mi się, że każda skała i palma ma w sobie coś innego. Tak mi się one podobają, że chcę je zatrzymać w pamięci na dłużej, żeby mi te obrazy nie umknęły, a przypominały się ilekroć spojrzę na zdjęcia. Słońce schodząc coraz niżej powoduje ciągle zmiany kolorów panujących w dolinie. Aż szkoda było mi opuszczać to miejsce.

Jak zwykle od dwóch tygodni wskakujemy do samochodu i jedziemy dalej. Po drodze zatrzymujemy się w małym miasteczku, a może dużej wsi, kto to może wiedzieć. Tutaj każdy udaje się na bazar, aby kupić owoce, zwłaszcza pomarańcze i zielone melony. Zaczyna się ściemniać, więc musimy znaleźć miejsce na nocleg. Już o zmroku stajemy koło jakiejś oazy, ale dokładnie nic nie widać, bo już zbyt ciemno. Zobaczymy jutro rano.

## **26.04.2001 ( czwartek)**

Poranek przy oazie. Jak zwykle wzbudzamy zainteresowanie. My czynimy poranną toaletę, a tubylcy pracują na swoich poletkach. Ciekawe zestawienie, możliwe tylko tutaj.

Dzisiaj z kolei są urodziny jednego z charakterystycznych członków naszej wyprawy, a mianowicie Wojtka, który wyznaje arabską zasadę, że „gdy się ktoś spieszy, to diabeł się cieszy”. Wojtek to najspokojniejsza osoba z całej naszej dziewiątki i chyba najbardziej oryginalna, zwłaszcza wtedy, gdy chodzi w słomkowym kapeluszu i kolorowej koszuli, jest w tym nie do pobicia.

A jak już jestem przy ubiorze, to zauważyłam, że w części południowej Maroka kobiety ubierają się trochę inaczej, niż te z północy. Tutaj na dżelabę zarzuca się jeszcze koronkowy materiał. No i noszą tobołki na głowie, jak w Afryce naszych wyobrażeń. W dodatku na południu kobiety są bardziej widoczne na ulicy, można z nimi porozmawiać, nie uciekają tak, jak na północy. Widoczny jest tu pewien paradoks, bo okazuje się, że kobiety z wybrzeża Morza Śródziemnego mają mniej wolności, niż te z południa. Wydawałoby się, że większa swoboda powinna panować właśnie na tym obszarze, który jest bliżej Europy, a jednak jest inaczej. Moim zdaniem dzieje się tak, z tego powodu, że północ Maroka zamieszkują Arabowie, a południe Berberzy. A to przecież odmienne kultury.

Dziś zmierzamy na pustynię – Erg Chebbi, część Sahary. Nie mogę się tego doczekać. Mijamy już obszary pustyń zwirowych z dużymi ilościami agatów. Nie pozostaje mi nic innego, jak je zbierać do kolekcji, którą już dawno założyłam w samochodzie umieszczając ją... w pudle po Opychach.

Po drodze trafiamy na stadko przechodzących przez szosę wielbłądów, co nie obywa się oczywiście bez zatrzymania się i robienia zdjęć.

Mijamy również namiastkę pustyni piaszczystej i zachwycamy się nią, nie zdając sobie sprawy, że to nic w porównaniu z tym, co zobaczymy na Saharze. W tym miejscu Agata włazi pod samochód (i to w białej koszulce) i wkłada rękę w jakąś dziurę naszego wehikułu wyciągając różne przedmioty typu: noże, balsam, które powpadały tam i od środka nie dało się ich wyciągnąć...

Dojeżdżamy do jakiejś miejscowości, w której się na chwilę zatrzymujemy. Dlaczego, dziś już nie pamiętam. Może to było wtedy, kiedy szukaliśmy miejsca, by nabić butlę gazową? W każdym razie chłopaki zaczepiają jakąś dziewczynę, która zaprasza nas do mieszkania. Spotykamy tam bardzo skromnie żyjące trzy młode dziewczyny, dwie Berberyjki i Arabkę. Są nauczycielkami. Mamy szczęście, bo normalnie Marokanki nie mogą zapraszać cudzoziemców do swojego domu, ale one są tutaj „obce”, czyli pochodzą z innych części kraju. Dlatego mogą coś takiego uczynić. Nasi wspaniali koledzy mają podwójne szczęście, bo my dziewczyny jesteśmy dla nich czymś w rodzaju paszportu. Sami nie mogliby wejść do tego mieszkania. Jedna z nich, nauczycielka angielskiego, z chęcią z nami rozmawia. Jarek zauważa zdjęcie młodego króla Maroka. I jak to zwykle bywa, dorzuca swoje trzy grosze. Pyta czy to prawda, że król jest gejem. Oczywiście Marokanka szybko zaprzecza, temu, co powiedział Jarek. Według niej takie plotki rozgłaszają przeciwnicy króla. W końcu musimy opuścić to mieszkanie, gdyż jedna z naszych rozmówczyń idzie do szkoły, drugą podwozimy do miejscowości, znajdującej się na trasie naszej drogi.

Zatrzymujemy się w ostatniej miejscowości przed pustynią – Erfoud - aby zrobić ostatnie zakupy, zaopatrzyć się w wodę. Na placu w tej miejscowości zostajemy zaczepieni przez jakichś ludzi, którzy proponują nam nocleg w osadzie na pustyni. Oczywiście ich zbywamy, ale wizytówkę bierzemy, bo jedziemy właśnie tam, a na tej karteczce są dokładne współrzędne geograficzne tego miejsca. Przydadzą się nam one, żeby tam dojechać przy pomocy GPS – u. Wystarczy je tylko wprowadzić, a potem trzymać się wytyczonego kursu.

Zajeżdżamy na stację benzynową, gdzie trochę oczyścimy nasz samochód, co nie ma większego sensu zważywszy na to, gdzie jedziemy.

Obok stacji znajduje się parking samochodów terenowych dla turystów. Oczywiście mamy propozycję, żeby wynająć te samochody, bo podobno naszym tam nie dojedziemy. My już trochę zdążyliśmy się nauczyć handlu z Arabami, więc swoje wiemy i wierzymy w nasz samochód. Zasięgamy jeszcze informacji, jak dojechać do Merzougi. Człowiek na stacji benzynowej każe nam się trzymać starych słupków telefonicznych, bo jako takiej drogi to tam nie ma. Nie pozostaje nam nic innego, jak ruszyć w drogę. Znowu jedziemy, kierujemy się słupkami tylko, że one w pewnym momencie znikają i teraz już zdani jesteśmy na nasz GPS. Drogę oczywiście nie ma. Jedziemy po płaskim terenie usianym kamykami i kurzem, który niemiłosiernie każdą szczeliną przedostaje się do środka samochodu i kłębi się w nim. W pewnej chwili na pustkowiu zatrzymuje nas jakiś Berber i znowu zaczyna się ta sama historia o tym, że nie dojedziemy sami, że zabłądzimy itp. Waldek nie wytrzymał i zaczął pytać Berbera czy daleko do granicy algierskiej, a potem dowiedzieliśmy się, że jesteśmy rosyjskimi agentami, którzy właśnie tam jadą... To oczywiście Waldek na poczekaniu wymyślił tę historię, żeby się od nas odczepiono. Berber miał niewyraźną miną, jak słuchał, co też Waldek mówi. Nie wiem czy uwierzył, ale zostawił nas. My za to mogliśmy jechać dalej już przez nikogo nie zatrzymywani. GPS prowadził nas ku celowi. W

końcu naszym oczom w oddali ukazał się widok na Erg Chebbi. Krótko mówiąc widok na górę piachu, która rosła w oczach w miarę naszego zbliżania się.

No i w końcu dzięki nawigacji satelitarnej dotarliśmy do Merzougi – maleńkiej wioski znajdującej się u stóp ergu. Tam za bardzo nie wiedzieliśmy, co z sobą zrobić, więc postanowiliśmy, że staniemy obok kępy palm i tam rozbijemy nasz obóz. Oczywiście po pięciu sekundach był już tutaj ktoś z miejscowych, proponując nam przeniesienie się na camping, czego myśmy oczywiście nie chcieli zrobić, bo podobało nam się to miejsce. Ostatecznie zgodziliśmy się na to, aby nam pokazał swój camping. Zabrał ze sobą na motorze Konrada, który pojechał i zginął na dłuższy czas, bo jak się okazało, w drodze powrotnej nie mógł sobie odmówić ugania się za jakimiś ptakami. Czyli nic nowego..., po prostu zбочzenie biologa.

Jak to zwykle tu bywa, pojawiły się dzieci. One uczyły Waldka i Renię, jak Berberowie wiążą zawój na głowie.

Tutaj polujemy na żuki. Są duże i szybko pomykają po piasku, że aż trudno je złapać. Nazwałam je trochę niecenzuralnym słowem, czyli saharajskimi zapier.....ami. W każdym razie kilka okazów przywieźliśmy do Polski.

Zaczęło się ściemniać i wiać coraz bardziej i bardziej, trzeba było się ewakuować do namiotów spać. W dodatku rano mieliśmy wstać o 4:30 i udać się na wschód słońca nad piaskami Sahary. Trudno było zasnąć, bo tak wiało i waliło piaskiem o namiot. Kilka razy budziłam się w nocy z wrażeniem, że wraz z namiotem odlecimy gdzieś donikąd. W dodatku za każdym razem coraz bardziej chrzęścił mi piasek między zębami...

## **27.04.2001 ( piątek)**

Dzwoni budzik Agaty, to 4:30 rano. Agata każe mi się nie ruszać, tylko świeci latarką na mój śpiwór i koc... wszystko w piasku. Dosłownie wszystko, piasek jest wszechobecny na przedmiotach, jak i na nas samych.

Jest jeszcze ciemno, w dodatku jeszcze wieje, a my ruszamy. Jarek ubiera swoją pasiastą - niczym ubranie więźnia – dżelabę i rusza jak prawdziwy Berber na Saharę. Nie idzie się zbyt dobrze zwłaszcza wtedy, gdy trafia się na zawietrzną część wydmy, gdzie piasek jest sypki, co utrudnia poruszanie się. Mamy godzinę czasu, aby dotrzeć na najwyższą wydmy.

Wschód słońca około 5:35, tak określił czas GPS. Naprawdę jest to cudencko. Uda się nam dotrzeć na tę wydmy, choć wejście na nią graniczyło z cudem, bo szło się zawietrzną stroną. Krok w górę i zsuniecie się dwa w dół. Już myślałam, że nie uda mi się dojść do idealnie zarysowanej krawędzi wydmy. Jeszcze trochę wysiłku i jestem na górze. Wszyscy docierają, oprócz Konrada, który od wydm woli ptaki i został w „obozie”. Na nas czeka niesamowity widok, wokół morze wydm, jakich kto chce, w różnych kształtach w zależności od kierunku wiatru. A piasek ma niesamowicie pomarańczowy kolor. Nasze wydmy w Łebie wydają się przy nim wyblakłe. Mamy jeszcze chwilkę czasu na przygotowanie się do zdjęć, choć już zaczyna świtać. Wiatr powoli ustaje i zaczyna robić się cieplej.

Na „naszą” wydmy dociera jeszcze innych dwóch zagranicznych turystów. Jak patrzymy w stronę Merzougi, to widzimy więcej amatorów wschodu słońca, tyle, że oni mają gorsze miejsca do oglądania niż my. No i w końcu słońce pojawia się na horyzoncie i to punktualnie! Robimy zdjęcia, choć kończy się to tym, że większość aparatów potem skrzypi od piasku, który powlaził do każdej możliwej szczeliny. Najgorzej na tym wychodzi aparat Reni, który wcale już nie chce robić zdjęć. Czeką go wizyta w serwisie, musi być wyczyszczony z piasku. Nie zdają się na nic późniejsze próby Reni wyczyszczenia aparatu różnymi pędzelkami.

W oddali widzimy karawanę prowadzoną przez jakiegoś Berbera. Na wielbłądach siedzą zagraniczni turyści. Śmiesznie wyglądają tak prowadzeni po wydmach.

Wracamy. Po pojawieniu się słońca wiatr zniknął, jak za dotknięciem magicznej różdżki. Poza tym zrobiło się ciepło i możemy spokojnie ściągnąć nasze polary.

Z Agatą zabieramy całkiem pokaźną ilość piasku. Zostawimy go nie tylko sobie, ale także dostaną go nasi znajomi.

Na wydmach spotykamy Berbera, który nawet wśród piasków potrafi rozłożyć swoje towary i wciskać je turystom. My ograniczmy się tylko do ich obejrzenia.

W obozie jesteśmy o 10:30. Oczywiście Konrada nie ma, jak zwykle nikomu nie powiedział gdzie idzie i kiedy wróci. Nie pozostaje nam nic innego, jak czekać. Tak na marginesie, to Konrad przez Arabów nazywany jest Alibabą, ze względu na posiadanie brody. Gdziekolwiek się pojawi, jest Alibabą. Mam tylko nadzieję, że nas nie biorą za czterdziestu rozbójników...

Gosia z Wojtkiem robią panoramę wydm i osady. Interesująco to wygląda, reszta siedzi i komentuje poczynania tej dwójki. Skojarzyli mi się z podróżnikami XVIII lub XIX wieku. On mistrz, ubrany w swoją kolorową koszulę i słomiany kapelusz i ona – jego wierna pomocnica w trudach podróży. W dodatku na jej głowie „jarzył” niebieski turban.

Spakowaliśmy już wszystko, a Konrada nie ma. W dodatku Jarek zdążył wywołać małą kłótnię z Berberem, który się do nas przyczepił. Poszło o blondynki... Berber twierdził, że nie jest prawdą, że oni, uganiają się za blondynkami. Tu zaczął wychwalać swoją żonę... Zresztą o tym, jakie kobiety lubią Arabowie, już dawno się dowiedzieliśmy, na przykładzie naszej kochanej Reni, którą chciano kupić za dwieście wielbłądów!

Znudziło się nam czekanie, postanowiliśmy przejechać się po osadzie, może gdzieś go wypatrzymy. Nic z tego, przepadł. Bez sensu jest takie jeżdżenie, więc zatrzymujemy się przed knajpką „Wydma”, gdzie zaferowano nam darmową herbatę miętową.

Siedzimy sobie tak i siedzimy, w końcu podchodzi znowu ten Berber i mówi żebyśmy poszli do wsi, bo tam odbywa się ślub. Poszliśmy i... przeżyliśmy ciekawą przygodę. Razem z barwnym tłumem, panem młodym przy śpiewie dotarliśmy do chaty panny młodej. Tam wszystkich skropiono różaną wodą, której zapach długo się trzymał. Byliśmy świadkami tańców oraz publicznego zarznięcia owcy przed domem panny młodej. Pomyślałam sobie wówczas, że mamy szczęście, iż w naszej polskiej tradycji nie ma takiego zwyczaju.

Po tym wszystkim znowu wróciliśmy do knajpki. Tym razem pijamy coca – colę. Obok siedzą Hiszpanie i z miejscowymi popalają sobie kif, czyli marokańską odmianę marihuany. Oprócz tego grają z nimi na bębenkach. Jarek oczywiście nie mógł wytrzymać i postanowił dołączyć do nich. Tak więc zrobił się całkiem międzynarodowy zespół grajków.

W końcu pojawia się Konrad i znowu ciągnie nas do wioski. Idziemy tam, w dodatku zostajemy zaproszeni do chaty panny młodej. Chata to klepisko, na której siedziało mnóstwo kobiet. Tam uczestniczyliśmy w śpiewach i tańcach. Nawet dane było nam – dziewczynom – założyć na głowę coś, co dla nas było workiem, a dla Berbrów częścią stroju ślubnego. Tylko, że w tym nie dało się oddychać, a panna młoda musi to nosić przez trzy dni! Nikt nie może widzieć jej twarzy, taki panuje tutaj zwyczaj. Zresztą widać było, że ledwie żyje.

Poczęstowano nas migdałami. Posiedzieliśmy trochę, a potem jak zwykle pojechaliśmy dalej. Znowu przemierzając obszar bez dróg, znowu kurz sadził się do samochodu. Prawie na nic się nie zdały ręczniki powtykane w szczeliny, które miały go pochłaniać. Owszem część pochłaniały, ale większość i tak kłębiła się w środku, a ręczniki były brudne.

Tutaj muszę powiedzieć, że od kilku dni Waldek z Konradem chodzą w turbanach, a jadąc samochodem zwracają na siebie uwagę. Taki widok podoba się tubylcom.

Po drodze zatrzymaliśmy się znowu w tej miejscowości ze stacją benzynową, aby tam umyć w myjni samochód i poddać go czyszczeniu sprężonym powietrzem, żeby pozbyć się ton kurzu. Tutaj Renia poddała swój aparat sprężonemu powietrzu, ale i tym razem nie



przyniosło to pożądanego efektu, tak więc już do końca była pozbawiona przyjemności fotografowania.

Potem ruszyliśmy do Source bleue de Meski – wspaniałych naturalnych źródeł. Okazało się jednak, że zostały praktycznie zabetonowane, nic ciekawego. Nie wiem, czym tutaj się zachwycano, może kiedyś to rzeczywiście były cudowne źródła.

Gdy część z nas poszła na rekonesans, druga została w samochodzie i jak zwykle ktoś się do nas przypałał. Tym razem byli to młodzi ludzie, którzy robili zwierzątka z kawałków liści palmowych. Dostałam wielbłąda, Agata – skorpion, a Hanka – żmiję. Zapytano nas o imiona. Z imienia Agaty zaczęli się śmiać, bo nazywa się jak minerał. A już największą radość przysporzyło im imię Hanki, podobno Hana w arabskim świecie to Fatima Kuskus – czyli kobieta opiekująca się domem, odpowiedzialna za pożywienie, głównie kuskus. Nie powiem, żeby Hankę to uradowało. Długo to wspominała. Zresztą nie ma się czemu dziwić, też nie chciałabym być Fatimą Kuskus...

Tak, więc zamiast wspaniałych źródeł czekała nas noc nad sztucznym zbiornikiem wodnym za Erachidią, w okolicach której postanowiliśmy się rozbić.

To był naprawdę długi i ciekawy w wydarzenia dzień. Należy się nam za to sen...

## **28.04.2001 ( sobota)**

Kolejny poranek... nad wodą i dzień rozpoczynam od... smażenia kolejnej porcji placków ziemniaczanych z proszku! Żar z nieba się leje, a ja... smażę!

Po śniadaniu Agata, ja, Wojtek i Jarek postanawiamy zażyć kąpieli w jeziorze. To pierwsza od czterech dni kąpiel i nic nas nie powstrzyma, nawet groźnie wyglądające u brzegu glony, które jakoś trzeba przepłynąć. Nie podoba mi się uczucie jakiego doznaję, przepływając przez nie. No, ale kąpiel ważniejsza od jakichś tam glonów. W dodatku przed wyjazdem szczepiliśmy się, no więc... Jeszcze tylko w drodze powrotnej trzeba po raz drugi zetknąć się z siecią glonów, by w końcu czystutkim wyjść na brzeg. Czy pachnącym? Chyba nie za bardzo...

Kolejny dzień w drodze. Dzisiaj zmierzamy w stronę terenów powulkanicznych, a dokładnie w okolice Aguelmane Sidi Ali – wulkanicznego jeziora. No i nie da się ukryć, droga zaczyna prowadzić w kierunku północnym i wiąże się z powrotem... Ale do tego to jeszcze trochę, a teraz jesteśmy w ciekawym terenie.

Gdy jedziemy, co jakiś czas wpadamy w wibracje, ale tak skutecznie, że słychać, jak wszystkie nasze naczynia podskakują z tyłu samochodu. Będzie z nich kupa skorup. A wszystko dlatego, że na stacji benzynowej po powrocie pustyni dopompowaliśmy za dużo powietrza w kołach.

Zatrzymujemy się nad brzegiem jeziora, stanowi ono wnętrze starego zniszczonego krateru. Możemy sprawdzić, co z naszą „zastawą”. Kilka sztuk potraciło swoje fragmenty, zwłaszcza uszka.

Wszędzie można znaleźć stare skały wulkaniczne. Kilka okazów trafia do mojego magicznego pudełka, które już ledwie żyje. Oczywiście znowu wszyscy udają się na rekonesans.

Wraz z Wojtkiem i Agatą postanawiamy wdrapać się na jedno z otaczających zboczy, aby przyjrzeć się kształtowi krateru. Wchodzimy do góry. Zajmujemy miejsce na skalnej półce i naszym oczom ukazuje się widok na cały krater. Musi być rzeczywiście bardzo stary. Trzeba dobrze się przyjrzeć, żeby stwierdzić, że to krater. Poza tym zostajemy zaskoczeni tym, że są tu trzy jeziora zamiast jednego. Jest to wynikiem jego wysychania w porze suchej. Dzieli się ono wtedy na mniejsze zbiorniki. Widok jest cudowny, aż żal wracać. Schodzimy w dół, Agata ogląda leżące skały i w końcu pod jedną z nich znajduje... skorpion! Całe

szczęście, że nie był jadowity. Chociaż tego nie byłabym taka pewna. W każdym razie skończyło się uwiecznieniem go na zdjęciu.

Największe z jezior okazało się bardzo płytkie. W dodatku brzeg bardzo mulisty, co raczej utrudniało zażywanie kąpeli i trzeba było zadowolić się naszymi zapasami wody w samochodzie. Chociaż byli i tacy, którym to nie przeszkadzało i udało im się jakoś wykąpać. Chodzi mi tu o Renię, dla której nie istniały żadne przeszkody, jeśli chodziło o kąpanie się. Tak jak dla Wojtka najważniejsza była kawa o poranku i o zmroku, tak dla Reni kąpiel, nawet wówczas jeśli miała przydziałową butelkę wody, a w pobliżu nie było żadnego jeziora.

W każdym razie w czasie, gdy my oglądaliśmy z góry malowniczy obszar, Waldek z Konradem jak zwykle szukali ptactwa, tu na pewno nie było czapli jakiejś tam, ale za to inne ciekawe dla nich gatunki. Zresztą tyle już tego ptactwa tu było, że nawet nie pamiętam nazw gatunków.

Z kolei Renia i Gosia zostały zaproszone do jedyne go w okolicy domu, gdzie nawet udało im się zjeść kolację, czym były bardzo uradowane. Chyba dlatego, że było to coś innego, niż nasza soja z fasolką. To danie firmowe naszej wyprawy, jak na złość dzisiaj się daje większości we znaki, o czym świadczą częste biegi nieszczęśników za bryły wulkanicznych skał...

A tak w ogóle to już wiem skąd pochodzą biedronki. Na pewno nie z nieba, a z... Aguelmane Sidi Ali. Dlaczego? Bo w życiu nie widziałam takich ilości biedronek, jak nad tutejszym jeziorem. Nie wiem w czym by tu je liczyć, chyba w milionach sztuk, jeśli nie więcej. W takim to towarzystwie ogromnej ilości tych kropkowanych stworzonek możemy spędzać noc. W dodatku w kraterze wulkanu...

## **29.04.2001 (niedziela)**

Pobudka już o 6.30, bo na dzisiaj zaplanowaliśmy Fez. Wojtek pilotuje Kryskę po Fezie, tak jakby był tu już nie po raz pierwszy. Szybko i sprawnie udaje nam się stanąć na parkingu przy murach starej medyny. Tym razem już nie kręcimy się w kółko po mieście.

Zaczynamy od medyny. Już na samym początku za Hanką zaczyna biegać sprzedawca butów i próbuje jej wcisnąć jakąś parę. A zaczęło się od tego, że Hania obejrzała na wystawie jakieś buty i teraz nie może się pozbyć gościa, który mimo wszystko chce, żeby coś kupiła i co chwilę przynosi jej nową parę obuwia. I chociaż my się oddaliśmy od jego sklepiku, to i tak za rusz znajduje nas w tłumie, trzymając w rękach... kolejną parę butów. W końcu udało nam się go pozbyć, ale... mieliśmy kolejnego towarzysza... Ninję! Ze szramami na twarzy... podobno był kaskaderem w filmach, ale czy to prawda, to tylko on sam jeden wie. Tutaj to lepiej od razu założyć, że ktoś kłamie. No i ten Ninja od razu chciał być naszym przewodnikiem. Łaził za nami, choć myśmy tego nie chciały. Płatał się za nami i... robił za przewodnika. Zaprowadził nas do knajpki, wątpliwej, ale zostałyśmy. W dodatku powiedział, że jest to restauracyjka jego siostry. Tak, tu wszystko kręci się w rodzinie...jakoś trudno mi w to wierzyć...

Na talerzu pojawiło się jakieś mięso w sosie, co to - nie mam pojęcia, ważne, że było bardzo dobre. Potem zaprowadził nas do piekarni, do której okoliczni mieszkańcy znoszą wyrobione ciasto chlebowe, a piekarz je piecze w ogromnym, żarzącym się piecu. Gotowy, jeszcze ciepły chleb zabiera się do domu. Warto było to zobaczyć. Potem zaproponował nam, że zaprowadzi nas do mieszkania pewnych Marokańczyków, gdzie mogą nam pomalować dłonie henną, a my się zgodziłyśmy... chyba jeszcze nie nauczyłyśmy, że nie można w to wierzyć. Najpierw poszliśmy do domu jakiejś kobiety, która podobno skierowała naszego Ninję do konkretnego mieszkania. Kobieta ta wyznacza rodziny, do których należy pójść w pierwszej kolejności i dać im coś zarobić, bo są biedni.

No i w ten sposób trafiłyśmy do takiego mieszkania. Miałyśmy okazję zobaczyć, jak mieszkają ludzie w mieście. Mieszkanie jest oczywiście małe, a ludzi sporo. W jednym pokoju są wąskie łóżka, jakiś stół, telewizor i obowiązkowo portret zmarłego króla Hassana II.

Pani domu najpierw poczęstowała nas miętową herbatą, a potem przystąpiła do malowania nam dłoni - Agacie, potem mnie i na końcu Hance. W tym czasie nasz Ninja gdzieś się upłynął. Ostatecznie zamiast czarną henną zrobiono nam wzorki brązową, co niezbyt nam się podobało. Potem okazało się, że ustalona wcześniej cena jest za niska i ściągnięto z nas więcej pieniędzy. W dodatku nie dało się wyjaśnić całej sytuacji, bo Ninji nie było, a ludzie ci nie znali angielskiego. Mówi się trudno. Tyle czasu już tu jesteśmy i jeszcze udało się im nas naciągnąć. Nauczka na przyszłość. Najlepsze było to, że Agata i Hanka dały sobie zafarbować paznokcie na wskazującym palcu na brązowo, co kojarzyło się tylko z jednym... w dodatku długo nie chciało to zejść. Agata z takim paznokciem chodziła jeszcze na uczelnię. Miały co wspominać. Całe szczęście, że ja sobie nie dałam tego zrobić. W końcu zapłaciłyśmy i zmyłyśmy się stamtąd.

Na jednej z uliczek spotkaliśmy naszego przewodnika, którego Agata zbeształa, tak skutecznie, że zostawił nas w spokoju.

Postanowiłyśmy połączyć ciasnymi uliczkami medyny, a że położona ona była na zboczu, to uliczki wznosiły się raz w górę, raz stromo w dół. Waldek w tym czasie penetrował słynne farbiarnie skór, gdzie w ogromnych kadziach barwi się je na różne kolory. Nie da się tam długo wytrzymać, bo wydziela się tam paskudny zapach. To sprawia, że najlepiej zrobić zdjęcia i czym prędzej stamtąd uciekać.

Znowu jesteśmy głodne. Przydałoby się coś zjeść. Tym razem postanawiamy spróbować podłużnych bułek z farszem. Farsz był ciekawy, bo nie dość, że wszystkie jego składniki znajdowały się na ladzie osłoniętej od chodnika szybą, to jeszcze świeciło na nie słońce. Do takiej bułki prosto z wystawy trafiły pomidory, kapusta, ogórki, marchewka, cebula, ugotowane jajko (!!!), frytki oraz gotowane ziemniaki!!! A wszystko to było polewane ostrym sosem, zawijane w szary papier i ugniecione, żeby farsz nie wypadał. Z opisu nie brzmi to za bardzo smakowicie, ale efekt końcowy był całkiem dobry. Mnie tam smakowało i to nawet bardzo. W dodatku podobało mi się to zestawienie frytek i ugotowanych ziemniaków. Tego jeszcze nie jadalam.

Zbliża się godzina powrotu, no więc zatrzymujemy się jeszcze przy budce z napojami, żeby napić się świeżego soku z wyciskanych pomarańczy. Ależ to ma smak! Prawdziwie orzeźwiający w takim upale. Gdy tak sobie stoimy przed budką, odkrywamy, że sprzedający ma w swoim sklepiku polską wodę mineralną Żywiec!

Opuszczamy mury medyny, a tu kolejny handlarz, który upodobał sobie Hankę i próbuje jej sprzedać bębenki. Hanka ma już tego dość, ale on się tym nie zraża. Zdesperowana zaczęła tupać nogą, tak, że Marokańczyk zrezygnował. Całe szczęście, że sobie w końcu poszedł, bo następnym posunięciem Hani byłby rękoczyn.

Wracamy powoli do naszego samochodu i po drodze spotykamy resztę „naszych”. Są podekscytowani, bo widzieli, jak w srebrnej lektyce niesiono chłopca na uroczystość jego obrzezania.

Opuszczamy Fez. Dzisiaj znowu mamy w planach nocleg w terenie. Najpierw jednak zatrzymujemy się na małej stacji benzynowej, aby uzupełnić nasze zapasy wody, bo wyczerpały się do zera. A poza tym musieliśmy pozbyć się worków z naszymi śmieciami. Oczywiście wcześniej się nie dało, bo tu nie ma czegoś takiego jak śmietniki, a my nie chcieliśmy tego gdzieś wyrzucać na pobocze, więc od kilku dni woziliśmy je ze sobą. No i w końcu postanowiliśmy pozbyć się tego na stacji benzynowej, ale ludzie, którzy byli na tej stacji, chyba do końca nie mogli zrozumieć, dlaczego mamy problem

ze śmieciami. Dla nich przecież wyrzucanie zbędnych rzeczy gdzie bądź, to przecież całkowicie normalna rzecz, a my szukamy jakichś śmietników...

Z pełnym zapasem wody, bez balastu śmieci wyjeżdżamy poza osadę i szukamy miejsca na nocleg. W końcu znajdujemy się na plantacji pomarańczy. Nawet dostajemy pozwolenie od miejscowych na przenocowanie tutaj jednej nocy. W podzięce zapraszamy na kolację... soja z fasolką i ryżem. Zaczyna panować miła atmosfera. Tylko, że Marokańczyków przybywa, a Gosia z Wojtkiem dwoją się i troją, żeby ugotować im wszystkim kolację. Ostatecznie wynik jest taki, że razem z nami siedzi... dwudziestu Marokańczyków! Każdy dostaje kolację, ale widać, że chyba nie wszystkim ta nasza znakomita potrawa smakuje. Przynoszą nam mnóstwo pomarańczy. Ale jaki smak mają tutaj te owoce! Są soczyste, całkowicie inne niż te, które można kupić w Polsce. Aż chce się je jeść bez opamiętania.

I zaczyna się zabawa, bo jeden z gości przyszedł z bendirem. To orientalny bęben, obciążony z jednej strony skórą. W dodatku Jarek wyciąga z samochodu swoje zdobycze - duży bęben i jeszcze jeden malutki oraz fujarkę. Teraz dopiero impreza nabiera tempa. Zaczynają się nawet tańce i śpiewy. Nie da się ukryć, że w śpiewaniu rozkładają nas na łopatki. Nie dorastamy im do pięt. Potem puszcza marokańską muzykę z kaset, a my prezentujemy Kazika. Łatwo się domyślić, że nie przypada im do gustu i wolą swoją. Czyli dysio Marocano, jak ochrzciliśmy ten tutejszy gatunek muzyki. Bawią się z nami i młodzi i starzy. Wymieszaliśmy się w tym tłumie tubylców. Zabawa była fajna, a najlepsze było to, że dogadaliśmy się z nimi bez znajomości języka. Jakoś okazało się to zbyteczne. Grunt, że byliśmy bogatsi o kolejne doświadczenie. Impreza skończyła się koło 22:00. Marokańczycy kulturalnie się pożegnali i opuścili plantację wielką ciężarówką. Nam zostało jeszcze posprzątać bałagan po imprezie. Okazało się jednak, że ci tubylcy nie byli aż tak mili, jak nam się wydawało, bo jeden z nich zwędził Agacie jej pamiątkowy nóż, który dostała po dziadku. To popsulo jej trochę humor.

Po porządkach, po kolejnym dniu obfitującym w przeżycia mogliśmy wreszcie udać się na spoczynek w niesamowitym otoczeniu setek drzew pomarańczowych, pełnych owoców.

### **30.04.2001 (poniedziałek)**

Poranek na plantacji. Zanim jednak opuściliśmy nasze miejsce noclegowe, narwaliśmy mnóstwo pomarańczy i podczas drogi do woli mogliśmy się nimi opychać. Nie obeszło się oczywiście bez pamiątkowego zdjęcia przy drzewku pomarańczowym.

Kolejnym miejscem, do którego mieliśmy zawitać, była Al – Hoceima nad samym Morzem Śródziemnym. Zanim to jednak nastąpiło, czekała nas przeprawa przez około 100 – kilometrowy odcinek trasy prowadzącej przez Góry Rif, gdzie uprawia się słynny tutaj kif.

Trasa, na jaką się zdecydowaliśmy, jest odradzana w przewodnikach turystom, a to z tego powodu, że mieszkańcy bardzo nachalnie próbują, a nawet zmuszają do kupienia owego kifu. My jednak postanowiliśmy pojechać tą drogą, by sprawdzić, jak to jest w rzeczywistości. No i okazało się, że w istocie tak jest. Na poboczu drogi, co pewien czas pojawiają się ludzie, którzy próbują zatrzymać przejeżdżający samochód i sprzedać narkotyki. Jesteśmy niewzruszeni i wcale się nie zatrzymujemy. Docieramy do Ketamy, głównego zagłębia uprawy kifu. Tutaj zatrzymujemy się bo... jesteśmy głodni. Idziemy na buły. Oczywiście wrzucają do nich mydło i powidło. Tym razem nawet jest w niej ryba, ale moim zdaniem tylko psuje smak całości. Nigdy więcej ryb w takiej bułce! Dla mnie ohyda. Ale cóż, mogłam przecież poprosić bez ryby.

Możemy przyjrzeć się ludności, są tu sami mężczyźni, w dodatku o jakimś niewyraźnym spojrzeniu, ale za to z uśmiechem od ucha do ucha. To działanie kifu. Wszyscy tu sobie

popalają. Tak na marginesie to kif po arabsku znaczy „przyjemność”, tak więc sama nazwa mówi za siebie.

Opuszczamy Ketamę, jeszcze trochę i będziemy na wybrzeżu. Al – Hoceima, miasto praktycznie nie wyróżniające się niczym ciekawym w porównaniu z tym, co do tej pory zobaczyliśmy. Trafiamy na camping. Już dawno nie korzystaliśmy z tego przybytku. Jak się okazuje, to z campingu, na który trafiamy, też dawno nikt nie korzystał, ale udaje się nam na niego dostać. Wkrótce okazuje się, że nie jesteśmy jedynymi lokatorami, ktoś tu jeszcze mieszka i to na stałe.

Łazienka przedstawia opłakany widok, w dodatku brak w niej wody. Na zewnątrz na umywalkach pod gołym niebem, Marokańczycy coś smażą. Waldek szybko się z nimi brata, czego efektem jest zaferowany nam poczęstunek smażonymi rybkami.

Nieustraszona Renia z Gosią udają się na plażę zażyć kąpieli w morzu. Plaża mała, ale z dwóch stron otoczona skalistymi klifami. Reszta z nas idzie pod prysznic, który znajduje się w odległości kilkudziesięciu metrów od campingu, w dodatku jest jednocześnie toaletą!!! Jakby tego było mało, obok pracują jacyś robotnicy. Jednym słowem „cudowne” miejsce. Agata i ja pędzimy do centrum, gdzie trochę czasu spędzamy w banku, bo Agata wymienia pieniądze.

Potem udajemy się do kawiarni z widokiem na morze, gdzie zamawiamy ciastka i herbatę miętową. Oczywiście jesteśmy jedynymi kobietami. Siedzą tu, jak zwykle, sami mężczyźni i nic tylko popijają herbatę, i grają w jakąś grę planszową. Przychodzi kelner, przynosi to, co zamówiliśmy. Dostaję oczywiście inne ciastko, niż chciałam, ale pal to licho. Gorzej z ciastkiem Agaty. W trakcie jedzenia okazuje się, że pokrywa je pleśń! Wołamy kelnera, ale zdaje się, że nie rozumie, o co nam chodzi. Im chyba ta pleśń nie przeszkadza. Agata tego nie je, ale oczywiście i tak musi za to ciastko zapłacić. Wracamy na camping. Tutaj okazuje się, że Waldek poczynił już znajomości i mamy chętnego na oprowadzenie nas po mieście. Tylko musimy poczekać, aż nasz przewodnik odmówi modlitwę. Po raz pierwszy widzimy, jak wyciągają dywaniki i na głos muezina zaczynają się modlić. Trwa to jakieś pół godziny, aż wreszcie kończą i możemy ruszać do centrum. Szybko też okazuje się, że „przewodnik” zna hiszpański i Waldek podrzuca mi go do rozmowy. Klapa na całego, bo już się nie chce odczepić. W dodatku szuka żony. Ratunku!!! Mam ochotę uciekać. Co chwilę próbuję go podrzucić Waldkowi, ale na krótko to się zdaje i znowu chce rozmawiać ze mną.

Centrum miasta, jak już wcześniej wspomniałam, nie przedstawia nic rewelacyjnego. Tylko widok na morze ze skalistych klifów jest piękny. Klify oddzielają od siebie małe plaże. Nasz przewodnik zabiera nas na przystań jachtową, gdzie Agata ogląda jeden z jachtów, który stał i niszczał przy brzegu. Podobno został skonfiskowany przez policję przemytnikom narkotyków.

Część naszej grupy ma ochotę na rybę i chce pójść do restauracji. Tam okazuje się, że najpierw musimy kupić rybę na przystani, a potem przynieść ją tu do restauracji do usmażenia. No więc zostajemy zaprowadzeni na przystań. Tutaj można kupić wszystko, gatunków ryb co niemiara. Jest nawet mały złowiony rekin... a Renia tak się tu kąpała... Mamy okazję przyjrzeć się, jak coś takiego wygląda.

Po długich targach i wybieraniu, ryby zostają kupione. Teraz musimy przenieść się do kolejnego stołu, gdzie nam je oczyszczą, a potem już tylko musimy przejść do restauracji, gdzie zostaną odpowiednio przygotowane. Mało skomplikowana procedura, czyż nie? Ja oczywiście rezygnuję z tej przyjemności, bo ryb nie cierpię. Razem z Wojtkiem zmywamy się stąd. Pozostawiając przewodnika z resztą. Włączymy się uliczkami miasta. Trafiamy nawet pod kościół katolicki. Pierwszy i jedyny, jaki widzieliśmy w Maroku. Wpadamy także na godzinkę do kawiarenki internetowej, a potem wracamy na camping. Już ciemno, a reszty nie ma, więc nie pozostaje nam nic innego, jak siedzieć i czekać. Nawet

kluczy ze sobą do samochodu nie wzięliśmy. Wkrótce wesoła siódemka pojawia się. Ryby im smakowały, a poza tym spotkali w restauracji człowieka, starego Marokańczyka, który snuł im różne historie. Podobno miał cztery żony i ubolewał, że nastały już takie czasy, iż zakazano posiadania więcej niż jednej kobiety.

Pora spać...

### **01.05.2001 (wtorek)**

Od samego rana Waldek siedzi przy skalistej ścianie klifu i poluje z aparatem na jaszczurki. Potem śniadanie, pożegnanie przewodnika, obdarowanie go „chińszczakami” oraz fasolką, a potem z powrotem przez Rif. Dzisiaj jest ciekawiej. Próbują nas zatrzymać sprzedawcy kifu, jadąc za nami swoimi samochodami. Jeden prowadzi, a drugi wychyla się przez okno i prawie przed maską macha nam kifem. My jesteśmy twardzi i nadal się nie zatrzymujemy. W pewnym momencie mijamy stojących przy drodze kolejnych sprzedających, z których jeden wyposażony jest w... procę. Nie chcę nawet myśleć, do czego ona służy, ale na pewno skutecznie zatrzyma kierowcę. Całe szczęście, że nie miał ochoty wypróbować jej działania na naszej Kryście.

Mijamy ośnieżone szczyty Rifu, znowu musimy być na wysokości około 2 000 metrów npm. Zresztą Maroko jest krajem wyżynnym, tutaj rzadko jest się na wysokości poniżej 1 000 metrów nad poziomem morza.

Po raz drugi znajdujemy się w Ketamie i serwujemy sobie obiad, czyli buły, ale tym razem biorę już bez dodatku ryby.

Jedziemy dalej do Szewszawan, droga dłuży się nam niemiłosiernie, bo jest strasznie kręta i trzeba wolno jechać. W dodatku humory się coś psują, trwają spory, jaką kasetę teraz puścić. Nie ma jednomyślności. W końcu dochodzi do kompromisu, najpierw Dido, a potem coś innego.

Dojeżdżamy do miasta, które położone jest na zboczach, a jego budynki są białoniebieskie. Jedziemy na camping przeciskając się naszym dużym samochodem przez wąskie ulice, w dodatku camping położony jest powyżej miasta. Pokonujemy miasto serpentynami i docieramy do celu, choć nie bez problemów, bo Kryście ciężko manewrować na ostrych zakrętach wąskich dróg.

Na campingu okazuje się, że kierownik campingu to służbista i spisuje wszystkie informacje z paszportów, co trwa niemiłosiernie długo, ale w końcu oddaje je nam i możemy ruszać do miasta. Idziemy na skróty, przez stary cmentarz. Po raz nie wiem, który wybieramy medinę, żeby połączyć wąskimi uliczkami. Wszędzie w oczy kłuje błękit. Niebieskie ściany, drzwi, okna, wnętrza sklepów też w takim kolorze. Nawet dodatki, takie jak donice z kwiatami, też są błękitne. Robimy ostatnie zakupy, bo jutro już opuszczamy Maroko i Afrykę.

Tutaj wzbogacam się o marokańską skórzaną torebkę, za którą przepłaciłam, ale podobała mi się, więc co miałam robić. Chłopaki postanawiają iść do łaźni, ale szybko wracają, ponieważ okazuje się droga, a poza tym nie mieli czegoś tam, co było wymagane do wejścia.

U przydrożnych sprzedawczyń kupujemy świeże pęki mięty, chcemy je zabrać do domu, może wytrzymają. I udajemy się do knajpki na jedną z ostatnich herbat miętowych, parzonych przez Arabów. Siedzimy obok Wielkiego Meczetu, gdzie wieczorem na wołanie muezina ściąga rzesza wiernych.

W zależności od regionu smak herbaty nieco się zmienia. Ta z południa, ma gorzkawy posmak, a z północy jest okropnie słodka. Ale za to wyśmienita. Lubię najbardziej tę, przy której szklaneczka klei się od dużej ilości cukru. Jest też kilka sposobów jej parzenia. Oto jeden z nich:

Do czajniczka wsypuje się trochę zielonej chińskiej herbaty, dużą ilość cukru i zalewa się to zimną wodą, po czym gotuje i doprowadza do wrzenia. W tym czasie do wysokich szklaneczek wkłada się świeżą miętę z liśćmi i łyżkami. Gdy napar jest gotowy zalewa się nim miętę. W niektórych regionach miętę zalewa się dopiero drugim lub trzecim naparem powstałym z danej herbaty. Podobno wtedy ma najlepszy smak. Nie miesza się tego łyżeczką. Żeby nabrało to smaku, z czajniczka odlewa się część herbaty do jakiegoś naczynia i wlewa się z powrotem i tak kilka razy. Kiedy jest już wymieszane, leje się ten napar czajniczkiem z pewnej wysokości do szklanek, tak żeby utworzyła się charakterystyczna pianka. Jednym słowem napój bogów, a nie herbata.

Wracamy na camping, myjemy się w zimnej wodzie, bo za ciepłą trzeba zapłacić jednego dolara. Tę przyjemność zostawiamy sobie na jutro. Na kolację Wojtek serwuje... herbatę miętową według jednego z przepisów. I owszem prawie jak ta arabska. No tak, ale my się przecież nie znamy na proporcjach składników...

Ostatnia noc w Maroku. Trzeba się jakoś wypaść, bo dopiero będziemy mogli zrobić to porządnie w domu. Czeką nas długa droga przez Europę do domu. Mam już przygotowane rozeznanie: ile potrzeba nam peset, franków i marek, ile benzyny trzeba zatankować i gdzie ją tankować, żeby wyszło jak najoszczędniej. Jutro czeka nas jeszcze przepakowanie Kryški i rozdanie pozostałego prowiantu. A zostało go całkiem dużo i chyba jeszcze w domu będziemy musieli zjeść naszą soję z fasolką...

## **02.05.2001 (środa)**

Uff, poranek w... błotku. W nocy lało. Coś nowego jak dla nas, bo do tej pory deszczu ani widu, ani słyhu. Wszędzie mokro, a tu trzeba przepakować bagaże na drogę i w ogóle cały samochód. Wojtek pracuje nad podziałem pozostałej żywności pomiędzy wszystkich, niektórzy mają plany, że pozbędą się tego wymieniając na coś innego. Ten podział Wojtek przeprowadził sprawnie i każdy mógł zabrać swoją część. Wyglądało to niczym paczki pod choinkę. Dla każdego wyszedł pokaźny karton. A co w nim było? Między innymi 6 puszek soi z fasolką, 6 puszek czerwonej fasoli lub fasoli w sosie pomidorowym, poza tym zupki „chińszczaki”, zupki gorące kubki, litr oleju, duża paczka rosółu w proszku, 3 paczki kotletów sojowych, kilka torebek sosów i... zgrzewka papieru toaletowego. Zostało tego sporo, bo Wojtek wolał być przygotowany na wypadek, gdyby marokańskie jedzenie nam szkodziło. No, a że większych problemów nie było, więc sporo tego gwiazdowego papieru pozostało. Podobnie wyglądały pudelka wszystkich uczestników.

Po tym wszystkim czekała nas jeszcze kąpiel pod prysznicem, ale najpierw trzeba było za to zapłacić. W dodatku już pod samym prysznicem należało się śpieszyć, bo woda była limitowana i w pewnym momencie mogła się skończyć. I zamiast gorącej poleciałaby zimna. Nie chciało mi się stamtąd wyłazić. Nie wiem kiedy ostatni raz zażywałam ciepłej kąpieli. Ostatni raz ciepła woda leciała w Marrakechu tylko, że nie pod moim prysznicem. Ciepła woda była chyba jeszcze w... domu.

Wybiła dwunasta w południe, godzina zero. Czas odjazdu. Musieliśmy wcześniej wyjechać, bo w momencie przekroczenia granicy trzeba będzie przesunąć zegarki dwie godziny dalej. Jedziemy do Ceuty, po drodze mijamy Tetuan. Tutaj mieliśmy się zatrzymać, aby wydać ostatnie dirhamy, ale jakoś trafiliśmy na drogę, która nie prowadziła przez centrum, tak więc została przed nami Sebta. Tam wydamy ostatnie pieniądze.

Jadąc do Sebtu zastanawialiśmy się, czy znowu wywrze na nas takie wrażenie, jak w momencie wjazdu do Maroka. Oczywiście nic takiego się nie zdarzyło, bo my już się przyzwyczailiśmy do widoku ton śmieci, dlatego nie robiło to na nas wielkiego wrażenia.

Każdy idzie w swoją stronę. Z Agatą szukam poczty, bo chcemy wysłać jeszcze jedną kartkę. Potem pędzimy na targ, gdzie kupujemy chleby na drogę, kolejne pęki świeżej mięty, czekoladę do smarowania chleba i jakiś dżem. Potem nasze buty, jako obiad i dosłownie za ostatnie cztery dirhamy obie kupujemy ostatnią prawdziwą herbatę miętową, której smak będziemy pamiętać bardzo długo. Szkoda..., że to już ostatnia.

Ruszamy na granicę. Zanim ją przekroczymy, jesteśmy tam przez półtorej godziny, bo trzeba po raz kolejny wypełnić różne świstki papieru, a potem udać się z nimi i z paszportami do okienka. Tam z kolei zaczyna się sprawdzanie nas w komputerze, pieczętowanie kart, co niestety trwa, bo nikomu się tu nie śpieszy. Potem jeszcze papiery samochodu, celnicy hiszpańscy i już Ceuta. Sterylna. Można tu jeść prosto z ziemi, tak czysto, że aż razi.

Przesuwamy zegarki dwie godziny do przodu i... robi się późno. Odczytuję licznik, żeby sprawdzić ile to kilometrów przejechaliśmy po Maroku. Wychodzi mi, że jakieś 2 777 kilometrów. Całkiem spora liczba. Teraz musimy się śpieszyć, bo trzeba wymienić pieniądze na różne waluty, odwiedzić sklep wolnocłowy, zatankować Kryskę na maksa, bo tu o połowę taniej. No i ruszyć na prom do Europy.

Zaczynamy od kantora, gdzie oczywiście są problemy z uzyskaniem odpowiedniej ilości różnej waluty, ale po przejściu kilku, udaje się nam. Teraz przepuszczamy atak na sklep wolnocłowy i wychodzimy obładowani butelkami wina, piwa i co tam każdy chciał. Natomiast Kryskę poimy do pełna tanim olejem, niech też ma z tego pożytek.

W końcu czas na prom, lecz zanim tam docieramy, to trochę kluczymy, ale w końcu udaje nam się wjechać w odpowiedni wjazd. Kolejna kontrola. Hiszpanie przychodzą z psem, który dokładnie przeszukuje nasz samochód. Niestety nie znajdzie tego, czego szuka, czyli kifu. Ewentualnie może nawąchać się mięty, którą wieziemy do domu i aby dotrwała wstawiamy ją do pojemników z wodą.

Wjeżdżamy na prom. Jest już 19:15, a wydaje się, że przed chwilą było południe. Prom inny od tego poprzedniego. Na tym nie da się posiedzieć na pokładzie, musimy zostać w środku. Poza tym tak kołysze, że aż ciężko chodzić.

Agata dokonuje zakupu jakiegoś alkoholu w sklepie wolnocłowym, bo tani, a podobno ulubiony przez jej rodziców. Hanka też kupuje, ale perfumy. Po jakichś 45 minutach jesteśmy ponownie w Algeciras. Za miastem stajemy na chwilę, żeby coś zjeść. Okazuje się, że niezbyt dobrze przepakowaliśmy nasze rzeczy, bo pudła z żywnością są gdzieś z tyłu i musimy się jakoś do nich dokopać.

Waldek oddaje kierownicę. W końcu! Po tym zajściu w Rabacie, gdzie wzbogaciliśmy się o wgniecenie, nie pozwolił nikomu prowadzić. Całe Maroko przejechał sam.

Za kierownicą zadowolona Agata, a ja obok - jej pilot i... zabawiacz. Gdy wszyscy śpią, stajemy na jakiejś stacji, żeby zrobić coś z kołami, bo kiedy osiągamy prędkość 90km/godz., wpadamy w wibracje. Na dłuższą metę staje się to męczące. Po naszym zabiegu trochę to ustępuje.

Jedziemy tak sobie we dwie aż do 3:15. Wtedy następuje zmiana, my idziemy spać, a prowadzi Jarek z Hanią. Padam ze zmęczenia i zasypiam w pięć sekund.

### **03.05.2001 (czwartek)**

Pobudka! Wybiła 8.30 teraz za kierownicą Waldek i znowu ja. Zasuwamy do Barcelony. Już się nie mogę doczekać. Zaczyna padać. Ki czort? I to coraz bardziej, a przed Barceloną to już leje jak z cebra. Wszystkie samochody zwalniają na autostradzie, bo praktycznie drogi nie widać. Dojeżdżamy. Przystaje padać. A my jak zwykle zaczynamy się kręcić w kółko po mieście, bo nie możemy znaleźć żadnego miejsca parkingowego. Kręcimy się jak bączki



i... zwiedzamy miasto przez okna samochodu. W końcu udaje się nam znaleźć miejsce. Część z nas jest już u kresu wytrzymałości i pojawiają się głosy, żeby sobie darować Barcelonę. No, ale jeśli już tutaj zajechaliśmy, to wstyd by było to uczynić. W ten oto sposób część pozostaje w pobliżu samochodu. Targujemy się o to, ile czasu mamy na zwiedzanie i kiedy mamy wrócić. W końcu mamy ponad trzy godziny.

Idę z Wojtkiem, który w tym krótkim czasie pokazuje mi najciekawsze zabytki i miejsca. Trafiamy pod Sagradę Familię projektu Gaudiego, która budowana jest już od stu lat i ma być budowana jeszcze drugie tyle. To jeden wielki plac budowy. Jestem szczerze rozczarowana, bo owszem frontowa ściana, która przedstawiana jest we wszystkich przewodnikach jest naprawdę piękna. Za to reszta budzi moje zastrzeżenia. Każda strona inna, a najbardziej mnie denerwują kolorowe owoce umieszczone w górnej części świątyni. Może to komuś się podoba, ale mnie nie do końca. Gdyby cała świątynia wyglądała tak jak frontowa, to byłoby to naprawdę coś pięknego. Chyba będę musiała tam kiedyś wrócić, żeby to jeszcze raz dokładniej obejrzeć.

Potem Wojtek prowadzi mnie do domów Gaudiego, gdzie nie ma kątów prostych, dalej Katedra, Łuk Triumfalny i mnóstwo ciasnych uliczek. Ogólnie to jestem zachwycona, w dodatku wszędzie bardzo zielono, tylko to utrudnia robienie zdjęć, gdyż drzewa zasłaniają to, co się chce sfotografować. Z okien samochodu widzieliśmy jeszcze Plac Kataloński, Pomnik Kolumba. Tak, koniecznie trzeba tu wrócić, tylko, że z workiem pieniędzy.

Potem jedziemy do nadmorskiej miejscowości pod samą Barceloną, gdzie jesteśmy umówieni z „zaprzyjaźnionymi” Hiszpanami. Jednak zanim tam dojeżdżamy, też trochę czasu mija, bo najpierw trzeba znaleźć odpowiedni zjazd. Błądząc, trafiliśmy do obskurnej dzielnicy, przy torach kolejowych, gdzie ruch drogowy był tylko w jedną stronę i nie można było się cofnąć, co przysporzyło nam drogi. Ale ostatecznie dojechaliśmy, tam gdzie chcieliśmy.

Zanim Waldek i Wojtek znajdują odpowiednie osoby, my jeszcze trafiamy do sklepu. Tam wydajemy pesety, kupując butelki hiszpańskiego wina.

Zostajemy zaproszeni do byłych, sylwestrowych gospodarzy Wojtka, którzy w ciągu godziny przyszykowali obiad dla piętnastu osób. W tym czasie mogliśmy skorzystać z przysznica, a nawet dwóch. Bardzo mili i sympatyczni ludzie. Najpierw zaserwowali napoje i przystawki: orzeszki, paluszki, chlebki typu „tektura” dla odchudzających się. Były one podane z bardzo smacznym paszтетem. Potem każdy dostał talerz z różnymi rodzajami wędlin. Ciekawa była zwłaszcza jedna, która najlepsza jest dopiero po trzech latach, a w tym czasie poddawana jest różnym procesom. Ale widać to się opłaca, bo jej smak jest wyśmienity. Do tego sałatka z miliona warzyw w sosie majonezowym. Potem przyszła pora na danie mięsne z pieczarkami i ugotowanymi paprykami, słodkimi i ostrymi. Następnie deser zwany „kawą”, nie jest to bynajmniej nasza kawa, tylko budyń z truskawkami i bitą śmietaną. Na koniec wypiliśmy szampana.

W czasie tej biesiady toczyliśmy wszyscy razem rozmowę. To był prawdziwie międzynarodowy stół, przy którym posługiwano się angielskim, polskim, hiszpańskim, katalońskim i francuskim, w zależności od potrzeb i od tego, kto z kim rozmawiał. Kataloński prawie w niczym nie przypomina języka hiszpańskiego i wydaje mi się na bardzo skomplikowany. Przy stole toczyły się rozmowy na różne tematy. Oczywiście opowiadaliśmy o naszych wrażeniach z Maroka.

Wojtek dla gospodarzy przywiózł z Polski album ze zdjęciami różnych regionów naszego kraju. Potem pan domu poprosił o jakąś dedykację po hiszpańsku. Napisałam i podobno nie zrobiłam błędu. Oby...

Aż żal było nam opuszczać ten dom, zwłaszcza mnie, ale czas nas gonił, tym bardziej, że dochodziła pierwsza... w nocy. Nasi gospodarze dali nam na drogę spory zapas jedzenia, puszki coca-coli, soczki, wody mineralne, kanapki, ciastka. Tego to się nie spodziewaliśmy.

Jeden z synów swoim samochodem wyprowadził nas na autostradę, żebyśmy czasem po ciemku nie błądzili.

I znów za kierownicą Agata ze swoją maskotką, czyli mną. Prowadzimy, reszta śpi.

#### **04.05.2001 (piątek)**

Około trzeciej w nocy mijamy granicę hiszpańsko – francuską. Przez Hiszpanię przejeżdżamy 1 367 kilometrów. Jedziemy razem z Agatą do szóstej rano, a potem idziemy spać. Stanowimy niezły nocny duet. Całkiem przyjemnie jedzie się nocą.

Śpię jak zabita do dwunastej. Przespałam prawie całą Francję, bo około godziny 13.00 kolejna „niewidoczna” granica. Granica francusko – niemiecka.

Przez Francję nasza droga prowadziła przez dokładnie 888 kilometrów. Teraz przed nami ostatni tranzytowy kraj – Niemcy. Jeszcze jakieś 1000 kilometrów do granicy z Polską. Po prostu jedziemy i jedziemy, od czasu do czasu robiąc przerwy na stacjach benzynowych. Przed nami nudny i monotony krajobraz Niemiec. Właściwie to nie pamiętam, co robimy w samochodzie przez cały dzień, chyba nudzimy się i każdy drzemie.

Przed kolejną zmianą wypijam jeszcze... kawę, żeby nie zasnąć. Jest to historyczna chwila, bo ostatnią kawę piłam gdzieś kilka lat temu. Faj, jakie to ohydztwo!

W końcu zapada wieczór i po raz kolejny „nocna zmiana” zasiada za sterami Kryški.

#### **05.05.2001 (sobota)**

Jedziemy obie z Agatą, wkrótce granica. Ale zamiast na przejściu w Kostrzynie, przypadkiem lądujemy w Świecku. Nie zjechałyśmy w porę z autostrady do Frankfurtu, przez który trzeba przejechać, żeby znaleźć się w Kostrzynie. No, ale nic jesteśmy w Świecku. Kolejka nie z tej ziemi, nie wiemy gdzie jest przejście, bo go po prostu jeszcze nie widać. Gdy się zatrzymujemy, Waldek budzi się, chyba nas sprawdza, myśląc, że to może nasze nowe problemy, więc uświadamiamy go, gdzie jesteśmy i każemy spać.

Posuwamy się w żółwym tempie przez trzy godziny. W końcu stajemy na przejściu. Najpierw Niemcy, a potem nasi celnicy, którzy powitali nas „bardzo” miło. Przyszedł taki jeden i zapytał, co wieziemy. My na to, że nic takiego. Kazał zapalić w samochodzie światło, a my na to, że się nie da, bo nie działa. To on do nas: „Aha, akurat teraz wam się zepsuło?” Taaak, dawno się zepsuło, wiem przecież, bo sama je wykończyłam, tłukąc komara na pustyni. Potem jeszcze zajrzał, co mamy w samochodzie. Zapytał czy nie mamy nic z nabiału i mięsa. My oczywiście na to, że nie. Chociaż wieźliśmy między innymi hiszpańskie serki, kakao... no i skorpiony, żuki... Ostatecznie kazał nam wysiąść i umyć ręce i buty... to niby miało powstrzymać ewentualnie zarazki pryszczycy, która panoszy się na Zachodzie. Tylko, że chyba więcej zarazków miała szmata, po której przejeżdżał każdy samochód, zanim wjechał do Polski. Miała ona odkażać koła. Ale wracając do naszego mycia, tak zaczęliśmy się guzdrać, że celnik stracił cierpliwość i kazał nam zabierać się z przejścia granicznego bez tego mycia! Hmm, a nuż wieźliśmy ze sobą te zarazki... ?

Wymieniliśmy jeszcze pieniądze na złotówki, zatankowałyśmy i mogłyśmy ruszać dalej, odczuwając, to że jesteśmy w Polsce. Nie dało się za bardzo spać tak trzęsło na wybojach polskich dróg.

Jak się okazało, wkrótce musiałyśmy znaleźć jakiś sklep z mapami, bo wcięło nam samochodową mapę Polski i nie dało się jechać.

Jechałyśmy do siódmej rano, a potem oddałyśmy kierownicę Waldkowi. Po drodze zabraliśmy jeszcze autostopowiczkę, która nie mogła uwierzyć, że wracamy z Maroka.

Do Gdańska dotarliśmy koło południa. Przejechaliśmy w sumie prawie 11 tysięcy kilometrów.

Najpierw wysadziliśmy Agatę, potem byłam ja. Wróciłam do akademika, zapominając zabrać z samochodu swoje wielbione pudło skał i minerałów. Zaopiekowała się nim Hanka, od której później je odebrałam. Po mnie do swoich domów wróciła reszta.

I to był koniec podróży. Podróży w sensie przemieszczania się. Gdyż teraz dopiero nastąpiła dalsza jej część, wywołanie zdjęć, slajdów, opowieści rodzinie i znajomym. No i myśl o kolejnej wyprawie. To nie koniec, to początek dalszej nowej i równie ekscytującej części...

## **Zakończenie**

Na koniec trzeba by to wszystko jakoś podsumować. Dlaczego Maroko?

Maroko – kraj w północno – zachodniej Afryce. Położony niczym wyspa pomiędzy Oceanem Atlantyckim, a pustynią. Arabowie nazywają swój kraj: „al – Maghreb al – Asqua”, czyli najdalej położona kraina zachodzącego słońca.

Jest tu wszystko, czego człowiek zapragnie. Jeśli jest się entuzjastą przyrody, to tutaj jest morze, ocean, niziny, góry wysokie i niskie. Trafić można do miejsc przypominających raj, takich jak wodospady w Ozoud. Tutaj spotyka się tętniące życiem oazy oraz martwe koryta rzeczne, które dawno nie widziały wody. Można wybrać się na powulkaniczne tereny jak i zdobywać najwyższe szczyty Atlasu Wysokiego. Nigdzie indziej, jak tylko tutaj widać kontrast kolorów - zielonych oaz z czerwoną barwą gleby i skał. Chce się doznać przeraźliwego zimna - można wybrać się w góry Atlas, chce się upałów - czeka Sahara, gdzie piasek ma intensywnie pomarańczową barwę. To tutaj można znaleźć miejsca do obserwacji niezliczonej ilości różnych gatunków ptaków. Jest rajem dla miłośników minerałów i skał.

Jeśli jest się amatorem kulinariów, to w Maroku nie zabraknie również i takich wrażeń. Na zawsze zapada w pamięci smak herbaty miętowej oraz świeżego soku wyciskanego z pomarańczy. Mimo tego, że nieśmiertelną coca - colę można tutaj kupić dosłownie wszędzie, nie może z nimi konkurować. Potrawy mają tutaj wyborny pikantny smak. Kuskus z kurczakiem czy zupa harira, to podstawa kuchni arabskiej.

Gdy się jest miłośnikiem historii, to każdy znajdzie wiele zabytków, głównie meczetów, do których niestety komuś, kto nie jest muzułmaninem, nie wolno wejść. Ale jest tu wiele innych ciekawych budowli jak kazby, ksary, pałace, przepiękne bramy prowadzące do medin. Tutaj ściera się stara medina z nowoczesnymi dzielnicami miast.

To kraj muzyki i tańca, gdzie my wypadliśmy raczej mizernie, choćby na wspomnianej plantacji pomarańczy. To kraj bazarzy, magików, szamanów i szaleńców, będących pod wpływem „przyjemności” - kifu.

A jeśli lubi się zakupy, to po prostu trzeba zagłębić się w świat suków, gdzie można kupić wszystko i przeżyć jedyny w swoim rodzaju rytuał dokonywania targu ze sprzedającym.

Miejsce pełne kontrastów nie tylko przyrodniczych, ale i obyczajowych. Maroko to kraj Arabów i Berberów, pomiędzy nimi również panują różnice kulturowe i to dość znaczne o czym w czasie naszej wyprawy zdążyliśmy się nieraz przekonać. To tutaj można poznać odmienność życia kobiet i mężczyzn. Ich miejsce w arabskim świecie wyznacza religia – islam. Nie jest on tutaj przestrzegany tak, jak w innych krajach arabskich. Na wołanie muezina tylko część Arabów idzie na modlitwę do meczetu, a widok Marokańczyka wyciągającego swój dywanik na modlitwę należy raczej do rzadkości.

Na ulicach miast rzuca się w oczy kontrast w ubiorze, gdzie tradycyjna Arabka ubrana jest od stóp do głów, a „nowoczesna” kobieta chodzi ubrana po europejsku. A mężczyźni? Oni praktycznie nic nie robią - cały dzień tylko siedzą w przydrożnych knajpkach, rozmawiając i obserwując to, co się dzieje na ulicy. Codziennością jest to, że na osiołku

jedzie mężczyzna, a jego żona podąża obok piechotą. A spotkanie na ulicy dwóch idących i trzymających się za ręce mężczyzn nie powinno dziwić, bo jest to według nich, wyraz przyjaźni.

Marokańczycy są bardzo gościnni i często zapraszają nieznanym do siebie. I mimo tego, że niewiele mają i tak jeszcze potrafią się tym z innymi podzielić. Wiele razy sami przekonaliśmy się o gościnności Marokańczyków.

A, że kraj nie grzeszy czystością, trudno. Przecież, co kraj, to obyczaj. Mnie podoba się właśnie takim, jaki jest. Nie uważam tego za wadę.

Momentami ma się wrażenie, że tutaj czas się zatrzymał wiele lat temu, bo kiedy sięga się po stare opracowania dotyczące Maroka, to stwierdza się, że tu nic się od tego czasu nie zmieniło. To taki kraj, jak z baśni tysiąca i jednej nocy. A mimo to, nie jest to kraj na końcu świata, bo działa tutaj Internet i telefony komórkowe. Wszystko razem tworzy harmonijną całość. Nowoczesność współgra z tym, co stare, wiekowe. Chciałoby się, żeby taki stan trwał dalej.

Egzotyka kraju, jego różnorodność jest magnesem przyciągającym podróżnych chcących przeżyć przygodę. Dlatego nie mogę się zgodzić ze słowami Wojtka, który na kilka dni przed powrotem powiedział, że nasza wyprawa dobiega końca. Według mnie pomimo powrotu do domu kraj ten i wszystko, co się z nim wiąże, jest w naszych wspomnieniach. I pozostanie na całe życie, bo na własne oczy zobaczyliśmy i poznaliśmy obcy, ale zarazem fascynujący świat należący do innej kultury. Tego nie dadzą nam żadne książki czy filmy. Trzeba zaznać tego na własnej skórze. Trzeba „rzucić oko” na Maroko i spróbować stać się jego częścią. Tak więc dla mnie przygoda z Marokiem nie kończy się, ale nadal trwa...